STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

ROCZNIK RYMANOWA ZDROJU

TOM I

120-lecie odkrycia źródeł

FOT-ART'94
1996



Anna z Działyńskich Stanisławowa Potocka

Adam Osuchowski

ANNA STANISŁAWOWA POTOCKA Z DZIAŁYŃSKICH OSTATNIA

W południowo-wschodniej części Polski leży Rymanów Zdrój, znane uzdrowisko, słynne ze swych dobroczynnych wód, uśmierzających różnorodne cierpienia, a specjalnie skutecznych w leczeniu skutków chorób dziecięcych.

Położony w Beskidzie Niskim, należy do najpiękniejszych podgórskich miejscowości w Polsce, otwierających drogę do wschodniego pasma Karpat, Bieszczadów. Widok Zdroju, zawsze piękny, jesienią czyni niepowtarzalne wrażenie. Od wojewódzkiego miasta Krosna mija się miasteczko Rymanów, od którego 4 km na południe położone jest uzdrowisko. Od południowej strony, od miasteczka Jaśliska, widok ten jest jeszcze piękniejszy. Obniżający się teren ukazuje całą dolinę rzeki Taby, w krasie jej i karpackim wdzięku. Zalesione zbocza po obu stronach rzeki dają daleką choć wąską perspektywę uroczej górskiej doliny.

Z innej jeszcze strony, od Sanoka, gdy dojeżdża się do miasteczka Rymanów, samo ono leży jak na dłoni. W dole zabudowania dawnego dworu i sam dwór ziemiański, który przetrwał jakoś zawieruchę ostatniej wojny i powojenne lata, za miasteczkiem pasy pól uprawnych na tle ciemnych smug borów na horyzoncie.

Wieża kościoła rymanowskiego jest głównym punktem pejzażu i wesoło wtapia się w podgórski krajobraz. Za kościołem wzniesienie górujące nad okolicą, skąd widać drogę do uzdrowiska. Na grzbiecie tego wzniesienia cmentarz otoczony murem, pełny starych drzew i grobów wielu pokoleń - oddalony niby od siedzib ludzkich, lecz związany z nimi drogą, która jest ostatnią dla każdego z mieszkańców tej okolicy.

W rogu tego cmentarza wydzielona kwatera grobów ostatnich właścicieli dworu rymanowskiego i zdroju leczniczego. Tyle tylko ziemi pozostało rodzinie, która władała majątkiem ziemskim i stworzyła dobroczynne dla miejscowej i przyjezdnej ludności zakłady lecznicze w Rymanowie. Szereg zwykłych wiejskich grobów, w których otuleni ziemią rymanowską spoczywają Potoccy - potomkowie jednej z najpotężniejszych rodzin magnackich historycznej Polski.

Błąkający się może bez celu, a może w poszukiwaniu śladów przeszłości tej ziemi, przeczyta wyryte na kamiennej tablicy jednego z grobów słowa: "Śp. Anna Stanisławowa Potocka, z Działyńskich ostatnia, Zakładu Zdrojowego w Rymanowie z mężem swym założycielka. Urodzona 2 listopada 1846 r. w Kórniku. Zmarła w Ociece 2 czerwca 1926 r."

Poniżej na tablicy napis: "Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią". Słowa Chrystusa głoszące chwałę najszlachetniejszej misji chrześcijańskiej – miłosierdzia czynionego człowiekowi przez człowieka.

Jest to grób skromny, a wspaniały zarazem swą prostotą, symbolem życia może ostatniej polskiej pani, a na pewno ostatniej z potężnego rodu Działyńskich, który na niej skończył się ostatecznie. Jakże jest obcy kamiennym czołom sklepień mauzoleów czy marmurowych grobowców innych rodzin magnackich. Jak pięknie ujął tym krótkim napisem dzieło życia i sposób przeżycia długich lat osiemdziesięciu.

Żyła dla ludzi, bo chorym dała możliwość kojenia cierpień, a ubogim ratunek przed nędzą i głodem. I gdyby o życiu i dziele tego życia nie powiedzieć ani nie napisać nic więcej ten napis grobowy powiedziałby wszystko, a tylko ludziom szukającym wiedzy o przeszłości można słowa te objaśnić szczegółową treścią, ciekawą i piękną jak baśń o dobrym i wspaniałym sercu ludzkim.

***

Anna z Działyńskich Potocka była córką Tytusa i Celestyny z Zamoyskich Działyńskich. Babką jej była Zofia z ks. Czartoryskich Zamoyska, córka sławnych w Polsce Adama i Izabelli Czartoryskich z Puław, którzy w swej rezydencji stworzyli pierwsze polskie muzeum historyczne i których dom był ośrodkiem życia patriotycznego w najtrudniejszej epoce historii narodu polskiego – w dobie rozbiorów i walk Polaków w wojnach napoleońskich. Po matce więc dziedziczyła Anna Potocka tradycje rodów Zamoyskich i Czartoryskich, należących do wielkich polskich magnatów i bogaczy, lecz zawsze dbałych o dobro na-

rodu, szlachetnych i popierających każdą inicjatywę obrony polskości, postępu społecznego i kulturalnego narodu.

Ze strony ojca, Tytusa Działyńskiego, Anna Potocka dziedziczyła nie tylko tradycje patriotyzmu, ale walk w obronie niepodległości polskiej, osobistego bohaterstwa i zupełnie niezwykłej ofiarności na cele narodowe. Jej dziad, Ksawery Działyński, był za popieranie powstania Kościuszki w roku 1794 więziony przez króla pruskiego, a odzyskawszy wolność z wielką energią i ofiarnością popierał walki Polaków u boku Napoleona.

Jej ojciec (Tytus) na wieść o wybuchu powstania przeciwko Rosji w Warszawie, w listopadzie 1830 roku, przedarł się przez kordon graniczny i chociaż mieszkał koło Poznania, w zaborze pruskim, bił się w wojnie polsko-rosyjskiej w roku 1831. Został za męstwo ozdobiony orderem Virtuti Militari i awansował do stopnia majora. Po upadku powstania nie mógł wrócić do rodzinnego domu pod Poznaniem i przez prawie 10 lat przebywał na emigracji. Rząd pruski obłożył jego dobra sekwestrem, a samego skazał zaocznie na karę śmierci. Dopiero po latach i kolejnych amnestiach powrócił w rodzinne strony.

Resztę życia ten wspaniały człowiek poświęcił na gromadzenie pamiątek narodowych, stworzył imponujące jakością i rozmiarami zbiory muzealne w swym zamku w Kórniku i utworzył wydawnictwo naukowe najważniejszych polskich dzieł historycznych. Był znakomitym administratorem swych dóbr, pionierem postępu rolniczego i gospodarczego w zaborze pruskim, wzorem patrioty, obywatela, człowiekiem wielkiej odwagi cywilnej i przykładem cnót obywatelskich. Łożył na wszystkie narodowe sprawy w latach 1840 - 1860, kształcił młodzież swym kosztem, popierał powstanie przeciwko Prusom w 1848 roku i sam brał w nim udział. Był nieporównywalnym, z nikim ze współczesnych, ofiarnym patriotą, łożył na każdy cel, któremu przyświecało dobro narodu w trudnym okresie niewoli.

Brat Anny Potockiej, Jan Działyński, to nieodrodny syn Tytusa. W pierwszym okresie powstania styczniowego, w roku 1863 organizował pod zaborem pruskim ofiarną pomoc dla współbraci walczących z Rosjanami, a wreszcie sam ruszył do powstania i dał na jego cele wielkie sumy pieniężne. Walczył w szeregach powstańczych, a po klęsce wojskowej powstania poszedł na emigrację, podobnie jak ojciec skazany przez Prusaków na karę śmierci i konfiskatę majątków. I jak ojciec, uniknął przez amnestię i czas kary śmierci i utraty dóbr.

Po latach powrócił do Kórnika i kontynuował dzieło ojcowskie, poświęcając wszystkie dochody ze swego majątku na cele społeczne. Wspaniale rozwinął wydawnictwo naukowe, rozszerzył oraz uzupełnił zbiory muzealne w zamku kórnickim, poświęcił swe życie i majątek sprawie polskiej, łożył na wykształcenie polskiej młodzieży. Zmarł bezpotomnie. Godnie zakończył niezwykłą sagę rodu od pokoleń w służbie narodu polskiego.

Na takich więc przykładach formowała swój patriotyzm i postawę życiową młodziutka Anusia Działyńska, która miała kiedyś zostać Anną Potocką. Z Działyńskich postanowiła brać przykład, choć wiedziała że jej jako kobiecie, przypadną na pewno inne zadania i inny wymiar tych zadań.

Była dumna ze swego pochodzenia, nie dlatego że jest hrabianką i że przypadnie jej w udziale być osobą bogatą, lecz dlatego, że wszyscy Działyńscy byli ofiarnymi patriotami, ludźmi honoru, odważnymi i bez reszty oddanymi swemu krajowi.

Działyńscy herbu Ogończyk należeli do starego magnackiego rodu polskiego, od początku swego istnienia związanego z najdawniejszą dzielnicą Polski, która stała się zawiązkiem historycznego państwa w X wieku. W tej wielkopolskiej dzielnicy Działyńscy piastowali wysokie urzędy regionalne – starostów, podkomorzych i sędziów; odgrywali też rolę w rządach całego królestwa polskiego, dochodząc do godności wojewodów i kasztelanów.

Ród ten odznaczał się wielką rządnością i gospodarnością, patriotyzmem i ofiarnością na cele społeczne. Gniazdem rodowym był Kościelec, od którego wzięła nazwisko ich bratnia rodzina Kościeleckich, podczas gdy Działyńscy nazwisko swe zawdzięczają Działyniowi w północnej części Wielkopolski. Działyń utrzymał się we własności rodu do końca XVIII wieku. Sprzedał go dopiero brat dziadka Anny Potockiej, Ignacy Działyński, przyjaciel naczelnika narodu Tadeusza Kościuszki, na wyposażenie i wyszkolenie własnego pułku wojska polskiego, zwanego pułkiem Działyńskich, który okrył się chwałą w powstaniu kościuszkowskim.

Od wieku XVII główną i najwspanialszą rezydencją Działyńskich był Kórnik. Tu w zamku kórnickim koło Poznania, za poprzednich jego właścicieli gościł w 1574 roku król polski, a później francuski, Henryk zwany w Polsce Henrykiem Walezym, a we Francji Henrykiem III. Zamek w Kórniku został pięknie przebudowany w wieku XVIII przez Teofilę Działyńską, żonę Stefana Szołdrskiego, a później Aleksandra Potulickiego. Następnie został odnowiony i wspaniale wyposażony przez ojca Anny Potockiej, Tytusa Działyńskiego.

Z wybitnych i znanych w historii polskiej Działyńskich, należy wymienić żyjącego w wieku XVI Pawła, kasztelana dobrzyńskiego, którego uważano za człowieka niezwykle prawego i znakomitego pomnożyciela rodowego majątku. Znanym też był wojewoda brzesko – kujawski, Zygmunt Działyński, który od swego kuzyna, Andrzeja Grudzińskiego kupił w 1676 roku Kórnik i Bnin. Uzdolnionym politykiem był Augustyn Działyński, wojewoda kaliski, ojciec wspomnianych już Ignacego i Ksawerego.

Z innych dóbr Działyńskich, szczególnie ważne jest Konarzewo, z bardzo pięknym pałacem i par-

kiem. Właścicielem Konarzewa był Ksawery Działyński, a Anna Potocka spędziła tam część swego najwcześniejszego dzieciństwa, gdy zamek w Kórniku zniszczony został przez Prusaków w 1848 roku. Konarzewo nie było własnością Tytusa Działyńskiego, lecz jego siostry Pauliny, która poślubiła swego wuja, Józefa Dzieduszyckiego.

Z rezydencji Działyńskich, wspomnieć trzeba o słynnym pałacu Pod Pelikanem w Poznaniu. Nazwę wziął od wielkich rozmiarów rzeźby pelikana, ustawionej na szczycie frontowej ściany pałacu przy Rynku Staromiejskim. Ptak ten uważany był za symbol rodu, bo według legendy karmił swe potomstwo własną krwią, jak Działyńscy, którzy się dzielili z narodem swym majątkiem. Pałac ten był własnością Działyńskich już za czasów matki Ksawerego i Ignacego, pani Anny Augustynowej Działyńskiej z domu Radomickiej, która po śmierci męża poślubiła marszałka Władysława Gurowskiego. Była to pani wielkiego rozumu, ciesząca się uznaniem tak w Poznaniu jak i w Warszawie, gdzie Gurowscy posiadali inny pałac.

Pałac poznański odegrał ważną rolę w życiu Anny Potockiej, gdyż obok Kórnika był jej drugim domem rodzinnym. Rodzice Anny często przebywali w Poznaniu, stolicy polskiego zaboru pruskiego. Pałac działyńskich zwany był przez ludność krótko – pałacem. Inne pałace nazywano od nazwisk właścicieli, ten był tylko "pałacem", a każdy z mieszkańców miasta wiedział, o jaki gmach chodzi. Siedziba Tytusa Działyńskiego stała się centrum polskości w Poznaniu. W największej sali pałacu, zwanej Czerwoną, odbywały się odczyty, zebrania stowarzyszeń naukowych i społecznych, wykłady naukowe uczonych polskich z innych zaborów organizowane przez Działyńskich, a nawet giełdy handlowo-rolnicze. Pałac był ośrodkiem życia polskiego w kraju pozbawionym własnej państwowości i uniwersytetów.

W czasie powstania styczniowego, w roku 1863, piętnastoletnia Anusia Działyńska przeżyła w Pałacu dzień pełen grozy, najście policji pruskiej w poszukiwaniu brata Jana, którego Prusacy chcieli ująć za współdziałanie z powstaniem pod zaborem rosyjskim. Władze rosyjskie miały zawsze w pruskich sojusznika, gdy chodziło o prześladowanie Polaków.

***

Anusia była ostatnim dzieckiem swych rodziców. Gdy rodziła się w Kórniku dnia 2 listopada 1846 roku, matka jej miała lat 42, a ojciec 50. Małżeństwem byli od 21 lat i mieli już pięcioro dzieci - syna i cztery córki.

Ślub brali (ojciec i matka Anny) w 1825 roku w Puławach, w rezydencji babki pani Tytusowej, księżnej Izabelli Czartoryskiej, której autorytet znany był w całej Polsce. Nie było słynniejszej i czcigodniejszej siedziby wielkopańskiej w Polsce owych czasów niż Puławy.

Na ślubie Działyńskich byli oczywiście rodzice panny młodej, Stanisław i Zofia z Czartoryskich Zamoyscy. Hrabia Stanisław Zamoyski był ordynatem na Zamościu, największym panem w ówczesnym Królestwie Polskim, rządzonym od 1815 roku, czyli od Kongresu Wiedeńskiego, przez cara rosyjskiego. Zdawało się, że Stanisław będzie ostatnim Zamoyskim noszącym to nazwisko, a zarazem ostatnim ordynatem trwającej już od lat 250 ordynacji zamoyskiej. Dopiero dzięki Stanisławowi i Zofii z Czartoryskich, rodzicom Tytusowej, rodzina Zamoyskich rozrodziła się na nowo. Matka Tytusowej urodziła i wychowała siedmiu synów i trzy córki, nie przestając być najpiękniejszą damą w Polsce. Każde z tych dzieci dało znów potomstwo, a synowie odegrali doniosłą rolę w dziejach narodu w XIX wieku.

W tym samym czasie również w Puławach odbyły się uroczystości ślubne siostry pani Celestyny Działyńskiej, Jadwigi Zamoyskiej, z księciem Leonem Sapiehą. Wkrótce młodzi małżonkowie i szwagrowie, Tytus Działyński i Leon Sapieha, wzięli udział w powstaniu listopadowym, czego konsekwencje wpływały przez wiele lat na życie założonych przez nich rodzin.

Jeszcze przed powstaniem 1830 roku Tytusowa Działyńska urodziła w 1826 roku najstarszą swą córkę, Elżbietę, która w dwudziestym drugim roku życia poślubiła księcia Adama Konstantego Czartoryskiego, bratanka księcia Adama Jerzego, a wnuka księżnej Izabelli z Puław. Wyszła więc za swego cioteczne go wuja, starszego od niej o przeszło dwadzieścia lat. Drugim dzieckiem Działyńskich był syn Jan, urodzony w 1829 roku. Jan został mężem, w 1857 roku, jedynej córki księcia Adama Czartoryskiego, Izabelli. Książe Adam, który był rodzonym wujem matki Jana Działyńskiego, od czasu upadku powstania listopadowego mieszkał w Paryżu i był przywódcą popowstaniowej emigracji Polaków we Francji. Małżeństwo Jana było świetne, lecz nieszczęśliwe i pozostało bezdzietne.

Trzecia córka Tytusostwa Działyńskich, Jadwiga, urodziła się w Warszawie w lipcu 1831 roku, na kilka tygodni przed zdobyciem stolicy przez wojska rosyjskie. W dwudziestym pierwszym roku życia Jadwiga wyszła za rodzonego swego wuja, generała Władysława Zamoyskiego, starszego od niej o 27 lat. Dziwnym trafem małżeństwo było udane, posiadało czworo dzieci, a pani zwana w Polsce "generałową" była przez długie lata pierwszą damą polskiej emigracji i działaczką społeczną paru kolejnych pokoleń w kraju.

Trzecia siostra przyszłej pani Potockiej, Maria, urodziła się gdy rodzice przebywali na emigracji w Galicji, w polskim zaborze austriackim. Maria – to przyszła pani Zygmuntowa Grudzińska, przez wiele lat sąsiadka Kórnika i matka czworga dzieci, bardzo zżytych z Potockimi z Rymanowa. W 1836 roku urodziła się Cecylia Działyńska, chorowita i słaba, przeżyła ona jednak w Poznaniu 63 lata.

Zdawało się, że rodzina pozostanie już w stanie nie zwiększonym. Od urodzin najmłodszej córki minęło już 10 lat. Tytus Działyński wrócił wreszcie z wygnania do ukochanego Kórnika. Tam, niemłodym już rodzicom, przyszła na świat jeszcze jedna córka, Anna Zofia, naprawdę już ostatnia. Anusia była młodsza od swej siostry Czartoryskiej o 20 lat, od Zamoyskiej o 15, od Grudzińskiej o 14 a od Cecylii o 10. Brat Jan był starszy od najmłodszej siostry o 17 lat.

Chowała się sama, jak jedynaczka. Nie pamiętała najstarszej siostry inaczej niż jako księżnej Czartoryskiej; siostra Jadwiga została generałową Zamoyską, gdy Anusia miała lat sześć, Grudzińska opuściła dom rodzinny, gdy najmłodsza liczyła lat 10. Chorowita Cecylia nie towarzyszyła Anusi w jej dzieciństwie. Brat Jan, w dzieciństwie tym stale nieobecny, kształcił się za granicą, podróżował, gospodarował w swym majątku w Gołuchowie, a potem po ślubie z Izabellą Czartoryską mieszkał na przemian w Gołuchowie i Paryżu. W domu rodziców nie przebywał prawie wcale.

Dlatego właśnie warto opisać dzieciństwo przyszłej pani z Rymanowa, bo choć miała liczne rodzeństwo, sama spędziła swe najwcześniejsze lata. Wychowywały ją bony, wychowawczynie, guwernantki polskie i francuskie. Największą rolę wśród nich miała panna Radolińska, wielka przyjaciółka pani Działyńskiej, osoba pochodząca z zubożałej rodziny ziemiańskiej. Na panią Działyńską miała wielki wpływ, a Anusię chowała zgodnie ze swymi przekonaniami o wychowaniu dzieci. Przesadnie religijna, była surową, oschłą opiekunką, wierzącą w skuteczność kar, z karą chłosty włącznie. Anusia wyniosła z dzieciństwa złe wspomnienia ciągłej walki ze starszymi, dokuczliwych kar, moralizatorskich kazań. Chciała też później w wychowaniu własnych dzieci uniknąć tej atmosfery surowości i lęku dziecka przed wychowawcami.

Światłem czy też słońcem jej dzieciństwa był ojciec, uosobienie dobroci i wyrozumiałości. Gdy w późnej starości pisała o nim w swym pamiętniku, na pewno miała oczy pełne łez wzruszenia, którym zaprawiła każde słowo poświęcone cieniom najdroższego człowieka. Ojciec jedynie rozumiał zmartwienie dziecka, potem dziewczynki, on jeden starał się rozjaśnić to ponure dzieciństwo, spędzane w zamkniętym na klucz dziecinnym pokoju. Do najpiękniejszych wspomnień zaliczała zawsze przechadzki po Poznaniu, gdy trzymała ojca za rękę; dumna, że człowiek otoczony czcią i szacunkiem jest właśnie jej ojcem. Nie było bowiem wówczas w Poznaniu czcigodniejszego i bardziej kochanego człowieka od hrabiego Tytusa Działyńskiego, którego mieszkańcy miasta nazywali swoim dobrodziejem i opiekunem.

Ostatni dzień swego życia, 11 kwietnia 1861 roku, spędził Tytus w towarzystwie piętnastoletniej córki. Wybierali razem wiosenny kapelusz dla panienki, która swe marzenie wyjawiła ojcu, marzenie o słomkowym kapelusiku z czerwoną aksamitną przepaską. Tylko ojciec chciał i mógł zrozumieć marzenie Anusi i na jego życzenie służący przyniósł ze sklepu cały kosz kapeluszy do wyboru. Wspomnienie tego dnia nigdy nie zostało zapomniane przez Annę. Tytus Działyński zmarł w nocy z 11 na 12 kwietnia 1861 roku.

Z jego śmiercią skończyło się Anusine dzieciństwo, a wspaniały pogrzeb ojca, w którym wziął udział cały Poznań, zamknął jak czarna pieczęć żałobna ten pierwszy okres jej życia. Potem była długa żałoba, później tragiczny, lecz bohaterski okres powstania styczniowego, gdy każda myśl dziewczyny towarzyszyła walczącemu bratu, a wreszcie ucieczka do Drezna przed zemstą władz pruskich.

W drugim roku pobytu z matką i chorą siostrą w Dreźnie, gdy z zapałem uczyła się rzeźby i rysunku oraz kończyła swe ogólne wykształcenie – poznała Stanisława Potockiego.

Anusia Działyńska miała w swej naturze wielką potrzebę miłości. Ponure przez oschłe wychowawczynie jej dzieciństwo rozświetlał ukochany ojciec, na którego przelała całą swą gwałtowną miłość dziecinną. Po jego śmierci błąkała się ta jej potrzeba kochania i nie spoczęła na nikim, aż do czasu, gdy w jej życiu pojawił się Stanisław. Bo Anusia Działyńska tylko dwa razy kochała w swych młodych latach; pierwszy raz ojca, drugi Stanisława, który wkrótce został jej narzeczonym i mężem. Trzecią miłością jej życia były dzieci – jej własne, a oprócz nich wszystkie dzieci, które widziała lub o których słyszała, poza nimi wszyscy ludzie potrzebujący pomocy, opieki, wsparcia, uczucia i ciepła.

Razem z miłością dla dzieci buchnęło jak płomień, tlące się już w sercu dziewczynki, a rozgorzałe w sercu kobiety, miłosierdzie, wielkie miłosierdzie dla wszystkich dzieci i ludzi – dla każdego, kto tego miłosierdzia potrzebuje.

Z miłosierdzia dla ludzi wszystkich i bez różnicy narodziły się czyny życiowe, całe wielkie dzieło Anny z Działyńskich Potockiej.

***

Stanisław Potocki, gdy spotkał Anusię Działyńską, miał lat dwadzieścia siedem. Przybył do Drezna z zaboru rosyjskiego, by odwiedzić swą matkę, hrabinę Teresę z książąt Sapiehów Przemysławową Potocką. Nie były to zwykłe odwiedziny rodzinne, bo Stanisław został właśnie zwolniony z carskiego więzienia w Kamieńcu Podolskim, obawiał się powtórnego aresztowania i musiał na zawsze rzucić swój rodzinny majątek, Tomaszpol, w którym od kilku lat gospodarował. Więzienie w kazamatach kamienieckiego zamku, obawa przed powtórnym aresztowaniem – to skutki udziału w powstaniu przeciwko Rosji, w 1863 roku. Potocki dzielił los wielu Polaków, którzy nie zważając na ogromną potęgę wroga, poszli walczyć o wolność kraju, ginęli w boju lub narażali się na prześladowania.

Anusia Działyńska, poznawszy Stanisława, widziała w nim uczestnika walki powstańczej, tej samej, w której brał udział jej brat. Z podziwem i dziewczęcym zachwytem patrzyła na niedawnego więźnia. Od tego zachwytu i podziwu był już tylko jeden krok do miłości. I stało się, że dwoje młodych emigrantów na obcej ziemi złączyło uczucie pierwszej i jedynej w ich życiu, gorącej miłości.

***

Zanim młodzi poznali się w Dreźnie, Stanisław Potocki nie był obcy Anusi Działyńskiej, a Anusia Stanisławowi. Rodziny Potockich i Działyńskich pozostawały od lat w powinowactwie i bliskiej znajomości. Anusia od najwcześniejszego dzieciństwa miała wielki kult i podziw dla nie żyjącej już od roku 1836 swej ciotki, Klaudyny z Działyńskich, której mąż, Bernard Potocki, był ciotecznym bratem obojga rodziców Stanisława. Andrzej Zamoyski, wuj Anusi, ożeniony był z Różą Potocką - ciotką Stanisława, a drugi wuj, Stanisław Zamoyski, poślubił niedawno rodzoną siostrę Stanisława, Różę Potocką. Łączyło to Potockich z Działyńskimi dość skomplikowanymi, lecz silnymi więzami powinowactwa.

Dla Anusi nazwisko przyszłego męża wiązało się jednak przede wszystkim z jej ciotką Klaudyną Potocką, która zdobyła w epoce powstania listopadowego i po jego upadku, na emigracji w zachodniej Europie, wielki rozgłos i powszechną cześć. Jako osoba niezwykle dobroczynna, wielka patriotka, wspomagająca emigrantów polskich, opiekująca się ich życiem i sprawami, ma do dziś Klaudyna Potocka szczególne miejsce w historii Polski. Jest symbolem poświęcenia życia sprawom narodowym i wzorem miłosiernej, ofiarnej i dobroczynnej pani, sławionej za życia a czczonej po śmierci.

Matka Anusi, Tytusowa Działyńska, żyła w Dreźnie w wielkiej przyjaźni z Przemysławową Potocką. Obydwa domy bolały nad więziennym losem Stanisława, obydwa radowały się z jego uwolnienia. Ocalały powstaniec i były więzień carski doznał w Dreźnie radosnego przyjęcia i szybko stał się ideałem snów dziewczęcych najmłodszej Działyńskiej. W rodzinach polskich sprawy osobiste były nierozerwalnie związane z losami i nieszczęściami kraju ojczystego.

***

Potoccy herbu Pilawa byli od XVI wieku jedną z najpotężniejszych polskich rodzin magnackich, a na pewno najbardziej liczną z tych rodzin. Zdarzało się, że w senacie zasiadało dziesięciu i więcej Potockich jednocześnie, że wielu Potockich równocześnie piastowało najwyższe urzędy koronne marszałków, hetmanów, wojewodów czy kasztelanów.

Rodzina ta wydała wielkich wodzów, polityków, wybitnych biskupów. Jeden z Potockich był prymasem Polski, kilku kasztelanami krakowskimi, to znaczy pierwszymi senatorami w państwie. Z kilkoma związane były głośne zwycięstwa i klęski polskich wojsk w walce z Rosją, Szwecją, Kozakami czy Tatarami. Było kilku wybitnych dyplomatów, tworzyli własne stronnictwa polityczne i odgrywali wielką rolę w czasie elekcji królów polskich.

Tworzyli wielką potęgę rodu przez olbrzymie majątki, do których doszli na wschodzie kraju, na Ukrainie i Podolu, łączyli się od wielu pokoleń z najwybitniejszymi rodami możnowładczymi: z Radziwiłłami, Lubomirskimi, Sanguszkami, Tarnowskimi, a nawet z rodzinami panującymi jak np. z włosko-mołdawskimi Mohyłami.

Od XVII rozpadli się Potoccy na dwie główne gałęzie. Jedna, pieczętująca się srebrną Pilawą, nazwę swą wzięła od najwybitniejszego z rodu hetmana wielkiego koronnego, Stanisława Potockiego, zwanego Rewera, zmarłego w drugiej połowie XVII w. (w czasie potopu). Druga pieczętowała się złotą Pilawą i zwała prymasowską, bo wydała prymasa królewstwa, Teodora Potockiego, którego życie przypadło na przełom XVII i XVIII wieku. Każda z tych gałęzi dzieliła się na trzy linie, tak więc mówiono: pierwsza, druga lub trzecia linia hetmańska, pierwsza, druga lub trzecia linia prymasowska.

Oprócz rodzinnych zalet, którymi było właściwe Potockim męstwo osobiste i ofiarna służba przeważnie w przedsięwzięciach wojennych, mieli Potoccy właściwe rodowi wady, a z tych najbardziej charakterystyczną dla wszystkich gałęzi i linii była pycha rodowa i wielkie mniemanie o potędze rodziny. Wiele razy, niestety, ta cecha brała górę nad przymiotami charakteru i postępowania Potockich.

***

Stanisław Potocki, powstaniec i więzień kamieniecki, należał do drugiej linii prymasowskiej, tak zwanej linii złotej Pilawy. Ojcem jego był Przemysław zmarły w 1847 roku, matką Teresa ks. Sapieżanka, która znacznie przeżyła męża i syna, zmarła bowiem w 1895 roku. Rodzice Stanisława byli ciotecznym rodzeństwem. Matką Przemysława była Róża Potocka, a matką jego żony Teresy Sapieżanki, Idalia Potocka – rodzone siostry, córki Stanisława Szczęsnego Potockiego i jego małżonki Józefy Amalii Mniszchówny.

I w tym właśnie pokrewieństwie tkwił cierń pochodzenia. Podwójnym pradziadem Stanisława Potockiego, powstańca i więźnia carskiego, był ów słynny Szczęsny Potocki, jeden z najpotężniejszych polskich magnatów, wojewoda ruski, generał artylerii, właściciel wielu starostw – ale i marszałek konfederacji targowickiej, związku szlacheckiego, który w czasie wojny polsko-rosyjskiej w 1792 roku opowiedział się po stronie wroga.

Fakt ten zdecydował o przegraniu przez Polskę wojny, zdradzie króla, który przeszedł na stronę targowiczan, o drugim rozbiorze kraju, a w konsekwencji o utracie niepodległości państwa. Szczęsnego Po-

tockiego i innych targowiczan oraz króla Stanisława Augusta Poniatowskiego obwiniła historia za rozbiory i półtorawiekową niewolę Polski.

Trudno w tym opowiadaniu dać dokładną analizę i ocenę postępowania Szczęsnego Potockiego – pozostaje tylko zgodnie z prawdą przytoczyć fakty, jako skutki tego postępowania.

Dla rodziny wszystkich gałęzi i linii rodu, słowo zdrajca, które przylgnęło do Szczęsnego, było głęboką tragedią. To obelżywe słowo utrzymywało swe znaczenie i za jego życia, i za życia wielu pokoleń późniejszych i utrzymuje swe znaczenie do dziś. A przecież za czasów Szczęsnego kilkunastu innych Potockich dawało przykład patriotyzmu, ofiarności dla narodu, poświęceń w służbie kraju. W redagowaniu konstytucji 3. Maja uczestniczył Ignacy Potocki, więziony później przez Rosjan, brat jego Stanisław Kostka był najwybitniejszym politykiem epoki walk Polaków pod sztandarami Napoleona. Aleksander Potocki był ministrem w rządzie Księstwa Warszawskiego, Michał senatorem Królestwa Polskiego, Teodor prezesem Rządu Tymczasowego w Galicji, w 1809 roku, a jego syn Adam – bojowym oficerem Księstwa Warszawskiego. Słynny Stanisław Potocki był jednym z najwybitniejszych generałów Księstwa Warszawskiego, a jego brat Antoni – dziadek Stanisława, o którym opowiadamy – też oficerem napoleońskim, a potem generałem Królestwa Polskiego.

Potomkowie w prostej linii Szczęsnego Potockiego pozostali jednak zawsze uczuleni na niechlubną tradycję przodka i wszelkimi siłami starali się swym postępowaniem i patriotyzmem zmyć z tradycji świetnego nazwiska niesławę Targowicy.

Cień na sławie rodzinnej Stanisława Potockiego przyjęła Anusia Działyńska jako obowiązek pomocy ukochanemu – starcia niesławy przeszłości czynami patriotycznymi i pracą dla kraju. Całe pożycie Stanisława i Anny było jednym wielkim wysiłkiem, aby niedawny powstaniec i więzień w dalszym życiu zasłynął jako prawy obywatel i dobry Polak.

Tymczasem to współżycie od początku zapowiadało się jako trudne i skomplikowane. Stanisław nie posiadał żadnego majątku. Świetne nazwisko i wspaniałe spokrewnienia są dobre, gdy towarzyszy im choćby niezależność finansowa, a jeszcze lepiej duża zamożność.

Dziad Stanisława, generał Antoni Potocki, ożenił się wprawdzie z bardzo bogatą córką Szczęsnego Potockiego, Różą, ale rozwiódł się z nią i nie korzystał z jej majątku. Róża Potocka poślubiła wprawdzie bodaj najbogatszego polskiego pana, Władysława Branickiego z Białej Cerkwi, ale majątek przyrodniego rodzeństwa ojca Stanisława Potockiego nie miał żadnego wpływu na osobisty majątek trzech pokoleń Potockich: Antoniego, Przemysława i Stanisława. Przemysław pozostawił po sobie jedynie dobra Tomaszpol koło Jampola na Podolu. Był to piękny majątek, ale nie stanowił dóbr magnackich. Gdy po śmierci ojca i dojściu do pełnoletności Stanisław Potocki objął zarząd Tomaszpola, miał przed sobą trudne zadanie. Należało wyposażyć trzy siostry, które szybko wyszły za mąż. Najstarsza, Róża, poślubiła Stanisława Zamoyskiego, średnia Idalia Stanisława Dowgiałło, a najmłodsza Pelagia - Aurelego Poletyłłę. Musiał też Stanisław podzielić się Tomaszpolem z najmłodszym bratem Antonim.

Gdy objął zarząd Tomaszpola w 1860 roku, zamierzał intensywną gospodarką podołać wszystkim potrzebom. Tymczasem przyszły lata trudne w rolnictwie. W roku 1861 ustawa o uwłaszczeniu chłopów w cesarstwie rosyjskim odebrała wielkiej własności darmowego prawie robotnika, inwestycje w przemysł rolny zawiodły, a próby dzierżawienia sąsiednich dóbr przyniosły deficyt. Udział w powstaniu spowodował obłożenie majątku kontrybucją. Słowem – Stanisław Potocki był nie tylko wygnańcem politycznym, ale i bankrutem w sensie majątkowym. Teoretycznie nic to nie przeszkadzało w małżeństwie z Działyńską. Anusia miała być posażną żoną, której majątek zrównoważy braki posiadania męża. Liczenie jednak na majątek przyszłej żony było dla Stanisława bardzo bolesne, a Działyńscy, choć tego nie okazywali, też woleliby aby ich najmłodsza latorośl szła za człowieka dostatniego. W tych trudnych warunkach materialnych gorzki był smak przyszłości, która ich czekała. Do tego Stanisław Potocki, przy najlepszej woli, był człowiekiem nie mającym szczęścia w interesach, co dał już poznać w latach tomaszpolskiego gospodarowania. Sprawy materialne, nieudane transakcje i niefortunna gospodarka miały zatruć szczęście tych bardzo kochających się zawsze ludzi. Ale to należeć miało do przyszłości.

***

Latem 1865 roku odbyły się w Dreźnie zaręczyny Stanisława i Anny. Jesienią tego roku udało się załatwić z władzami pruskimi powrót Działyńskich do Kórnika. Tylko skazany zaocznie na śmierć, za udział w powstaniu styczniowym, Jan pozostał na emigracji w Paryżu wraz z żoną Izabelą z Czartoryskich.

Anusia wracała do Poznania i Kórnika jako narzeczona. Ten powrót u boku ukochanego miał w sobie coś z powrotów triumfalnych, znanych Anusi z literatury. Córka Tytusa Działyńskiego i powstaniec, były carski więzień, zdobyli wielką sympatię społeczeństwa poznańskiego. Ta sympatia była ich udziałem w dalszym życiu i przeniosła się z czasem na ich dzieci.

Młoda narzeczona oprowadziła przyszłego męża po śladach swego dzieciństwa. W panieńskim pokoju zamku kórnickiego, ze wzruszeniem pokazała Stanisławowi zasuszone wiązanki kwiecia, okalające podobiznę wodza powstania, generała Langiewicza. Kultem dla walki narodowej próbowała dorosnąć do miary powstańczej Stanisława. Pokazała mu też całą wspaniałość zamku kórnic-

kiego, łamiące się światło na łukach sklepień, piękno Tytusowego dorobku muzealnego, bezcenne zbiory tyle lat gromadzone przez ojca.

Dnia 6 lutego 1866 roku, w Kórniku, Anusia Działyńska została Stanisławową Potocką. Rozpoczynało się życie nowe, samodzielne, od początku trudne, ale trudności te, które w miarę lat narastały i tworzyły niejednokrotnie dramatyczne a nawet tragiczne spiętrzenia, nie przeszkodziły w działalności społecznej Anny, jaką zadziwić miała swe pokolenie, by w następnych pokoleniach przejść w legendę.

***

Weselni goście rozjechali się szybko, pani Tytusowa zamieszkała w poznańskim pałacu a młodzi pozostali w Kórniku. To były najszczęśliwsze chwile ich małżeństwa. Żadnych trosk i kłopotów, miłość tylko i radość, że są razem, że będą zawsze razem. Po długich latach drżącą już ręką zaznaczyła Anna Potocka na fotografii zamku kórnickiego, od strony parku, balkon pokoju po lewej stronie baszty. Tu mieszkała z mężem po ślubie.

Wśród tej radosnej atmosfery szczęścia bolał jednak Stanisław, że mieszka, żyje, wydaje jakieś pieniądze - wszystko dzięki żonie, a talary Działyńskich, jakie otrzymywał od pani Tytusowej, trapiły go najwięcej. Anna Potocka, szczęśliwa jak tylko być można szczęśliwą, odczuwała, że Kórnik, w którym mieszka, nie jest już jej domem, bo znajduje się w bardzo życzliwej gościnie, ale w gościnie u nieobecnego brata. W tym ukochanym Kórniku, gdzie wszystko było zawsze nasze lub swoje, nic już nie jest swoje ani nasze. Nikt jej nie powiedział, że jest gościem. Służba, konie, pojazdy, kuchnia, park, zamek były do jej dyspozycji, ale administracja kórnicka słała do Paryża sprawozdania i prośby o decyzje, gospodarstwo na folwarku toczyło się swoim trybem, zawierano transakcje z kupcami, wznoszono nowe budynki, tylko jej, Działyńskiej przecież, nikt o nic nie pytał. Wszyscy byli grzeczni, życzliwi, mili – jak przystało służbie i administracji – dla siostry właściciela. Gdy została Potocką, stała się tylko siostrą pana domu, zażywającą braterskiej gościny.



Anna Potocka jako młoda mężatka
(z fotografii z czasów pobytu w Krakowie)

Oboje młodzi pragnęli najszybszego usamodzielnienia się i objęcia tej schedy, którą brat, jako opiekun majątku, im przeznaczy. Tymczasem przeżyli w tych na pozór szczęśliwych kórnickich czasach chwile grozy, gdy w całej okolicy wybuchła cholera.

Odwaga, którą zadziwiać będzie w dalszych latach życia Anna Potocka, wystąpiła po raz pierwszy właśnie teraz, w Kórniku, Bninie, Krerowie, we wszystkich wsiach i przysiółkach otaczających rezydencję Działyńskich. Zdarzały się tam, latem 1866 roku, rzeczy straszne, a jednak prawie normalne w tamtych czasach.

Ludzie marli w potwornych męczarniach, pozbawieni opieki lekarskiej, wygląd kulturalnej przecież okolicy przypominał obraz średniowiecznej zarazy. Opuszczone pola, nie zżęte zboża, trupy ludzi na drogach. Fala grozy szła po okolicy. Zdrowi jeszcze bali się udzielić pomocy chorym czy umierającym.

Na tle tej okropnej panoramy, dwoje młodych ludzi w pańskich strojach i w wytwornym ekwipażu zamkowym zatrzymuje się przy skręconych bólem i przerażeniem, leżących przy drodze; sami dźwigają przeznaczonych śmierci biedaków, przewożą do wsi, próbują ratować. Tej już nie samarytańskiej, lecz prawdziwie bohaterskiej akcji towarzyszy strach. Boją się i drżą jedno o drugie. Żona z dziwną i nieznaną stanowczością odmawia prośbom męża, samowolnie rusza na wieś dozorować chorych i sama, ona hrabianka i hrabina, pomaga w zabiegach. Naciera zbolałe ciała, wlewa lekarstwa w zamykające się kurczowo usta, niesie słowa pociechy i nadziei.

Pierwszy, ale i nie ostatni raz walczy Anna Potocka z epidemią. Będzie kiedyś pisać i drukować prace o pierwszym ratunku w walce z cholerą – teraz jednak jest chyba najbardziej godna podziwu. Ma dopiero dwadzieścia lat.

Nie pozwoliła się wywieźć z Kórnika, dopóki zaraza nie została opanowana. Pamiętajmy, że była zawsze bardzo wątłej konstytucji fizycznej i łatwo zapadała sama na przeróżne schorzenia. Tym razem, wy-

czerpana nie tylko fizycznie, ale i nerwowo, zgodziła się wreszcie na wyjazd z mężem do Rokossowa, do siostry Czartoryskiej i do Drzazgowa, do siostry Grudzińskiej. Spotkała tam i trzecią siostrę, Zamoyską, która przyjechała z dziećmi z Paryża. Pierwszy raz nieco dłużej widziała Anna Władysia Zamoyskiego, swego siostrzeńca, który tak bardzo życzliwym okazał się dla niej w trudnych latach życia w Oleszycach i Rymanowie.

Z Rokossowa pojechali Potoccy do Warszawy i Krakowa. Zamiast typowej podróży poślubnej, odwiedzili dwie stolice Polski w dwu różnych zaborach, rosyjskim i austriackim. Młodziutka mężatka pierwszy raz spotkała się z "wielkim światem" właśnie w Warszawie, w gościnie u licznej rodziny męża – Potockich z Wilanowa, Jabłonnej oraz u Sapiehów i Lubomirskich.

Młoda, żarliwa patriotka spodziewała się Warszawy przepełnionej bólem, jakiejś Troi bohaterskiej, zastygłej w cierpieniu i żałobie. Tymczasem Warszawa pańska i arystokratyczna bawiła się w najlepsze. To nic, że między dwoma tańcami opowiadano sobie, kogo zamknięto w cytadeli, a kto poszedł na Sybir. To nic, że w każdej rodzinie brakowało kogoś, że pisano listy i prośby do Petersburga o litość i złagodzenie wyroków, że siostry strojnych danserek szły z mężami na zesłanie.

Ludzie oswoili się z groźnymi kiedyś objawami carskiej przemocy. Śmierć i męczeństwo stały się zbyt powszechne, przestały paraliżować życie ludzi. To życie domagało się swoich praw, smutki mieszały się z komendą balowych wodzirejów, dorastali młodzi, którzy dość mieli żałoby narodowej.

Anna Potocka, która dotąd poetyzowała położenie i męczeństwo narodu, była zdumiona i oburzona tym stanem rzeczy.

Kraków zrobił na Potockich wielkie wrażenie. Wydał się po Warszawie bliski, pogodny i życzliwy, a przede wszystkim polski. Ostatni senatorowie i generałowie z czasów powstania listopadowego, którzy nie ruszyli na emigrację do Francji, tu osiedli na emeryturze. Utrzymywała się żywa tradycja wodzów, którzy tu pomarli, tu żyły ich rodziny.

Anna Potocka wdychała głęboko tę atmosferę polskości i patriotyzmu. Bolesne wrażenie sprawił jednak Wawel. Zamek królewski nigdy w swej tysiącletniej historii nie przeżywał takiego upadku i poniżenia. Sale, które były królewskim mieszkaniem, stanowiły teraz koszary wojska austriackiego, w niektórych trzymano konie. Groby królów zaniedbane, katedra wymagająca remontu, otoczenie zda się bezpańskie i opuszczone. I tak jak w Kórniku ofiarność, w Warszawie śmiałość, tak w Krakowie odwaga Anny dała znać o sobie. Odważyła się wobec samego Adama Potockiego, wyroczni w każdej sprawie, skrytykować bierność społeczeństwa krakowskiego, patrzącego spokojnie na bezczeszczenie pamiątek narodowych. Adam Potocki, ożeniony z Katarzyną Branicką, pierwszy pan w Krakowie, rezydujący w słynnym pałacu Pod Baranami, konserwatywny polityk i bożyszcze zaboru austriackiego, zdumiony był odważną i agresywną postawą młodziutkiej kuzyneczki. Kto zna tę właśnie pozycję w Krakowie możnego magnata, doceni smak starcia najpierwszego pana w Galicji z nic nie znaczącą, młodziutką i nie posiadającą pozycji społecznej wielkopolską patriotką. Po latach podobne wystąpienia Anny Potockiej nie dziwiły już nikogo. Na razie wzbudziły sensację.

***

Gdy Potoccy wrócili do Kórnika, nadeszła wiadomość, że Jan Działyński przeprowadził w Paryżu działy rodzinne. Siostrze Anusi Potockiej przeznaczył dobra Oleszyce, położone w Galicji pomiędzy Lubaczowem i Jarosławiem, we wschodniej części tej dzielnicy.

Były to znaczne dobra, składające się z kilku folwarków i wielkich obszarów leśnych, od wielu lat będące posażnym majątkiem córek ich właścicieli. Należały z dawien dawna do rodu Sieniawskich, później Czartoryskich, Zamoyskich i Działyńskich. Teraz dostały się Potockim.

W ogromnym, kiedyś wspaniałym, lecz obecnie zaniedbanym parku, stał na wysokim wzniesieniu, usypanym niegdyś przez jeńców tatarskich, obronny ongiś zameczek malowniczy, lecz niemal w ruinie. Długie rządy nie zawsze rzetelnych zarządców doprowadziły i rezydencję, i majątek do opłakanego stanu. Był tylko jeden, krótki zresztą okres, gdy Oleszyce były dobrze gospodarowane, a to wtedy gdy Tytus Działyński przebywał tam z rodziną po upadku powstania listopadowego.

Rodzeństwo Anny Potockiej zachowało wspomnienia z Oleszyc jako piękny epizod z dzieciństwa. Pani Stanisławowa urodziła się już po powrocie rodziny do Kórnika i dla niej Oleszyce były obce. Zapewne gdyby Potoccy, sprowadziwszy się do Oleszyc, rozporządzali kapitałem na inwestycje majątkowe, gdyby mogli wyremontować ów zameczek, postawić budynki inwentarskie, uzupełnić inwentarze i wprowadzić intensywną gospodarkę rolną i leśną, mogłyby się Oleszyce okazać ich szczęśliwą i dostatnią przystanią życiową. Kapitałów jednak nie mieli, a sprowadzić się do Oleszyc chcieli natychmiast, gdyż Potocka spodziewała się dziecka. Urodzić to pierwsze dziecko we własnym domu było jej najgorętszym życzeniem, więc Stanisław pojechał przygotować dom mieszkalny i gospodarstwo na przyjęcie nowej pani, a wkrótce przybyła tam i ona sama.

Pierwsze wrażenie było złe i ono miało rzutować na cały stosunek Anny do Oleszyc. Przyjechała tam zimą 1867 roku, w czas roztopów. Chłody w zameczku były przejmujące, a myśl dręczyło jedno pytanie: jak w tych warunkach urodzić i chować dziecko. Od początku pomiędzy domem, jego otoczeniem i wszystkim, co Oleszyce niosły, a ich właścicielką, rozpo-

częła się i trwała wciąż pogłębiająca się niechęć, która z czasem przemieniła się we wstręt. Trzeba było mieszkać w wilgoci, patrzeć na odpadające tynki i zgniłe obicia, łatać dziury w ścianach, pozbywać się olbrzymich ropuch, które nie wiedzieć jak przedostawały się do pokoi, naprawiać dziury w dachu, który przeciekał na całej prawie przestrzeni. Przez wszystkie pomieszczenia tej kamiennej rudery wiały okropne przeciągi, było wilgotno, zimno i ponuro.

W tych warunkach i w nastroju ciągłej walki z domem i obcością otoczenia, 29 kwietnia 1867 roku przyszedł na świat syn pierworodny Potockich, Jan, przyszły właściciel Zdroju Rymanowskiego, którego dziełem życia miało być rozbudowanie zdroju i uczynienie z niego nowoczesnego uzdrowiska.

Pomimo niesprzyjających warunków życia i gospodarowania, pomimo niemowlęctwa Jasia i jego licznych chorób – Anna Potocka od samego początku pobytu w Oleszycach rozpoczęła swą pracę społeczną. Trzeba uzmysłowić sobie środowisko, w którym znalazła się pani, wychowana w Wielkopolsce, najkulturalniejszej i najlepiej zagospodarowanej dzielnicy kraju. Teraz przyszło jej mieszkać w dzielnicy najbiedniejszej, najbardziej zacofanej gospodarczo, wśród ludzi prymitywnych, żyjących nędznie, zabobonnych, ciemnych i może właśnie dlatego nieufnych i nieżyczliwych w stosunku do przybyszy, do dworu pańskiego, do całego zewnętrznego świata.

Okolice Kórnika i Poznania miały ludność wiejską rdzennie polską i katolicką, już wtedy piśmienną i życzliwą dla rodu Działyńskich, w którym chłopi mieli opiekunów i przyjaciół. W Oleszycach znalazła się córka Tytusa Działyńskiego wśród ludności ruskiej, nie mówiącej po polsku, wrogiej dla wyznania rzymsko-katolickiego. Tak zwani unici, czyli grekokatolicy, stanowili zwartą masę etniczną, opierającą się zbliżeniu polsko-ruskiemu, co było niestety skutkiem wieloletniej segregacji nacjonalistycznej, prowadzonej przez rządy szlachecko-polskie, uznające Polaków-katolików jako panów, a Rusinów-unitów jako chłopów, stworzonych do pracy i służby u właścicieli majątków ziemskich.

Temu opłakanemu stanowi rzeczy wypowiedziała Anna Potocka zdecydowaną wojnę. Już jej ojciec w czasie swego gospodarowania w Oleszycach był zwolennikiem zbliżenia polsko-ruskiego i pracy kulturalno-oświatowej dworu na rzecz wsi. Pierwszy chyba w tych stronach głosił konieczność współżycia dworu ziemiańskiego z duchowieństwem greko-katolickim, był rzecznikiem zakładania szkół wiejskich i współpracy Polaków z Rusinami, opartej na wzajemnej życzliwości i humanitarnych stosunkach międzyludzkich.

Te zasady ojcowskie stały się dla Anny ewangelią jej działania i niestety natrafiły na razie na glebę bardzo nieurodzajną. Jeszcze podczas swego pobytu w Oleszycach, pani Tytusowa Działyńska prowadziła szkółkę dla wiejskich dzieci. Anna Potocka podejmuje tę zaniedbaną przez całe już lata inicjatywę. Wyposaża na nowo otwartą szkołę w potrzebny sprzęt, stolarz dworski naprawia ławki i przygotowuje nowe, z lasu oleszyckiego wożą drzewo na opał, na koszt dworu kupuje się elementarze i książki.

Jednocześnie Anna Potocka organizuje przytułek dla starców i chorych, pozbawionych opieki. Gromadzi kilkunastu najbardziej potrzebujących pomocy w domu koło szkoły i poleca ich Siostrom Felicjankom, które sprowadziła do Oleszyc. Rozpoczyna również sama leczyć. I tu zaczęło się jej wielkie dzieło leczenia ludzi, które będzie trwało lat kilkadziesiąt.

Na razie te wszystkie prace przerywa następna ciąża i urodzenie latem 1868 roku drugiego syna, Józefa, który kiedyś przejmie po rodzicach dwór i majątek rolno-leśny Rymanów, i tak jak matka będzie rzecznikiem współżycia polsko-ruskiego. Gdy tylko mogła pozostawić dziecko, choć na krótki czas, niezawodnej pannie Józefie Śliwińskiej, wraca młoda matka do swych prac w szkole, domu opieki nad starcami i do swych przelicznych pacjentów.

W roku 1869 udało się Potockim sprzedać korzystnie las, złożyli znaczną sumę w banku krakowskim na zagospodarowanie Oleszyc, a sami z dziećmi dla poratowania zdrowia Pani wyjechali do Włoch. Ten włoski pobyt ma znaczenie w życiu Anny Potockiej, ponieważ ożywił jej zainteresowania sztukami plastycznymi. Brała w Rzymie lekcje rzeźby u znakomitych artystów, kształciła swój smak zwiedzając muzea, podziwiała budowle miast włoskich. Pobyt w Rzymie pozwolił stać się jej artystką rzeźbiarką i malarką, i udoskonalić umiejętności nabyte w Dreźnie.

W Rzymie przeżyli Potoccy radosny nastrój I Soboru Watykańskiego, ale też i wielką tragedię osobistą. Ich trzeci synek Piotruś, urodzony w Rzymie na początku 1870 roku, zmarł po kilku miesiącach i został w Rzymie pochowany. Jednocześnie spotkał ich wielki zawód życiowy, bo bankier krakowski, u którego złożyli pieniądze przeznaczone na inwestycje w Oleszycach, zbankrutował i kapitał przepadł. Runął więc gmach marzeń, że wydobędą się z coraz trudniejszej sytuacji materialnej.

Smutny był powrót do Oleszyc. Zbolała matka po stracie dziecka, strapieni oboje niemożnością zaradzenia coraz większym trudnościom gospodarowania majątkiem. Mimo trosk pani Anna wraca jednak z zapałem do pracy społecznej.

Codziennie rano konsultacje lekarskie. Przed domem gromadzą się ludzie. Mnóstwo ludzi. Nieufna początkowo ludność nabiera zaufania. Przychodzą po poradę lekarską, przynoszą lub przyprowadzają dzieci. Anna Potocka z pomocą służącej, którą przeszkoliła na pielęgniarkę, spełnia swe codzienne zajęcia. Chorzy nie idą do lekarza, bo to przecież kosztuje, zresztą doktór, który jest jeden na całą okolicę, jest w ciągłych rozjazdach. Stałym pacjentom zaleca Potocka leczenie homeopatyczne, daje lekarstwa, pędzluje gardła, opatruje rany, przecina wrzody, zaleca

bańki, pijawki, kataplazmy. Sama bandażuje, sama zdejmuje nasiąknięte krwią i ropą opatrunki, naciera bolące plecy, masuje rachityczne nóżki niemowląt i starszych dzieci. Z trudnością pokonuje barierę językową dzielącą ją od matek i pacjentów, zaczyna mówić po rusku, rozmawia z chłopkami o ich troskach i zmartwieniach.

Lekarstwa, wciąż mnóstwo lekarstw, i tych kupionych za własne pieniądze, i tych które przygotowuje ze zbieranych własnoręcznie ziół. W Oleszycach właśnie stała się zielarką, o wielkim talencie i intuicji lekarskiej. Zadziwi tym kiedyś całą Galicję, ale stanie się to już w Rymanowie. Tymczasem leczy w Oleszycach, z pasją zamiłowanej lekarki, przeważnie dzieci. Jest grzeczna, uprzedzająco grzeczna, co bardzo często kontrastuje z prymitywem tych wiejskich pacjentów. Często chore dziecko nie rozumie tej grzecznej hrabiny, która z wyszukaną uprzejmością prosi je o "otworzenie buzi i pokazanie gardziołka". Dopiero matka zrozumiawszy o co chodzi, wrzeszczy – "otwórz pysk" i mały pacjent otwiera grzecznie buzię!

Po południu Anna Potocka odwiedza ciężej chorych w domach. Przemierza pieszo Oleszyce i Oleszyce Stare, zapuszcza się jeszcze dalej, do Borchowa, Oleszyckiej Woli, do Dachnowa. Czasem, gdy do chorego bardzo daleko, jedzie tarantasem, najchętniej jednak chodzi pieszo, z wielką torbą zawieszoną na ramieniu. A torba pełna lekarstw i ziół, i – naturalnie – cukierków i ciastek dla dzieci, które takich przysmaków nigdy nie widziały. Nierzadko wyciąga z torby kawał słoniny lub kiełbasy, dla tych których największą chorobą jest głód. Pogodna i uśmiechnięta, choć nierzadko gniewna i wzburzona, gdy widzi specjalne okazy ciemnoty i prymitywu, a często zwykłego chamstwa. Gdy dostrzega krzywdę dziecka, biedaka czy starca potrafi wybuchnąć wielkim i świętym gniewem oburzenia.

Codziennie jest także do odwiedzenia ochronka i szkoła. Ile tu kłopotów i ile cierpliwości trzeba do tych ludzi nieufnych i ciągle obcych. Matki obrażają się, że ich dzieci nie dostały nagród, więc przestają je wysyłać do szkoły. Idzie więc Anna Potocka do obrażonych, tłumaczy cierpliwie, wyjaśnia, czasem gniewnie podniesie głos i to, o dziwo, skutkuje najlepiej.

W szkole uczy sama, wyręcza się też pomocą cerkiewnego diaka, o którego prymitywie przekonała się słysząc lekcję religii, w czasie której ten zagorzały patriota ruski tłumaczył dzieciom, że najdawniej wszyscy ludzie mówili po rusku a dopiero później Duch Św. zezwolił na niemiecką i polską mowę ludziom dobrej woli.

Przy tych wszystkich zajęciach pani Anna prowadzi dom wcale nie mały, jeździ do sąsiadów i odwiedza ruskie plebanie, przyjaźni się ku zdumieniu otoczenia z księżmi unickimi i ich żonami, opiekuje się ich dziećmi. Przyjmuje u siebie gości, dba o wygodę i dobrą kuchnię dla swych krewnych odwiedzających dom.

Latem 1871 roku przybyła pani Tytusowa. Miała okazję, bo jej córka urodziła czwartego syna, znowu Piotrusia. Razem z matką przybywa do Oleszyc brat, Jan Działyński, który, zwolniony wreszcie ze wszystkich kar w państwie pruskim, osiedlił się w Kórniku. Jest to jedyna wizyta brata u najmłodszej siostry. Jan Działyński trzymał do chrztu drugiego Piotrusia. Och, czemu dała mu to imię. Przyjdzie niedługo jej tego żałować.

Jednocześnie przyjechała do Oleszyc siostra najstarsza, księżna Czartoryska z córką Halką i siostra Maria Grudzińska. Anna Potocka cieszy się z najdroższych gości, którzy ze zdumieniem patrzą na córkę, siostrę i ciotkę w jednej osobie, leczącą ruskich chłopów i poświęcającą swój czas od wczesnego ranka szkółce, ochronce, szpitalikowi, chorym i potrzebującym wsparcia.

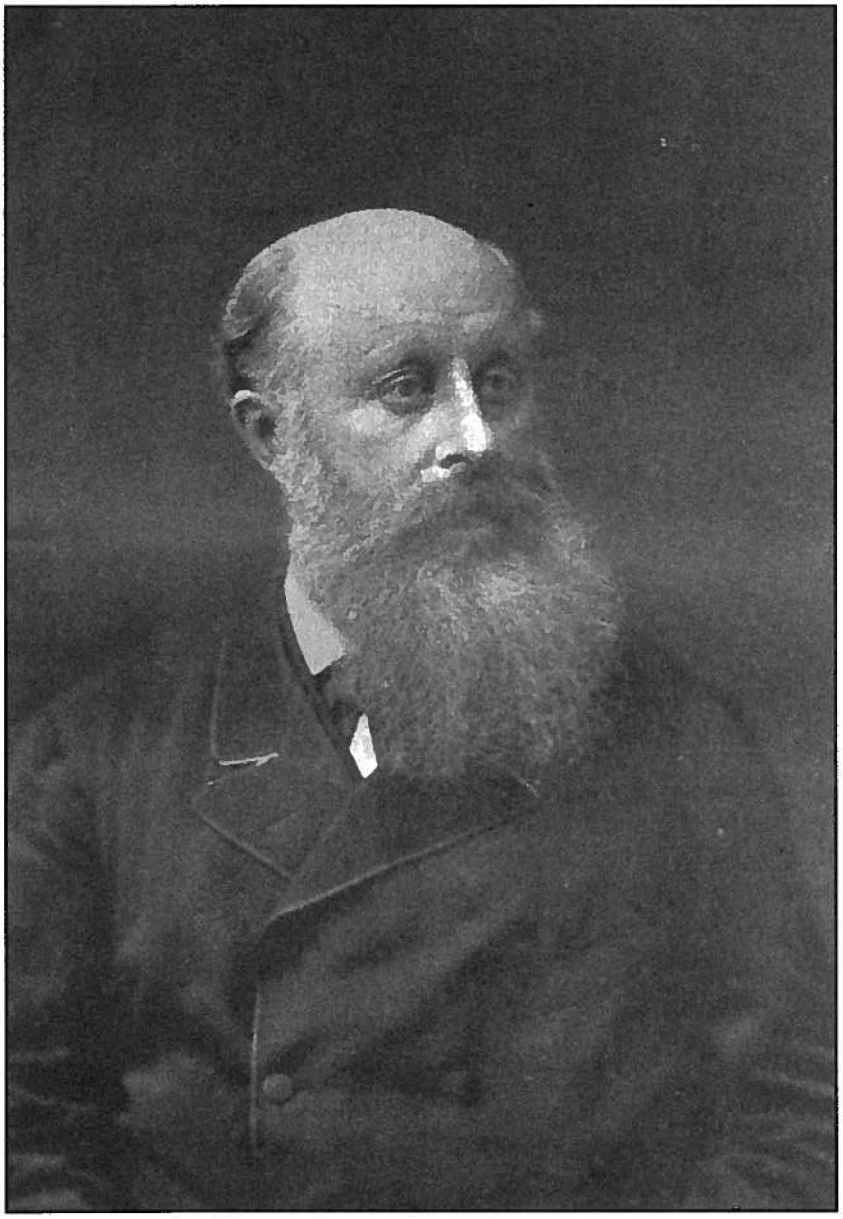
Idzie wieść o miłosiernej lekarce i zielarce po ziemi galicyjskiej. Dociera więc do miast, a więc najpierw do Przemyśla i Jarosławia, później do Lwowa. Praca oświatowa Anny Potockiej i jej niezwykle szczodra ofiarność stają się znane w Galicji. Właśnie latem 1871 roku, gdy gościła w Oleszycach swą rodzinę, zostaje wyróżniona honorowym członkostwem Lwowskiego Towarzystwa Pedagogicznego. Nie ma jeszcze wtedy dwudziestu pięciu lat życia.

Sama zapada jesienią na tyfus brzuszny. Osłabiona po przebytej chorobie, pielęgnuje zaprzyjaźnionego doktora Rybotyckiego, który zapadł na tyfus plamisty, zapewne badając jakiegoś pacjenta. Bojąc się zarażenia nawet najbliżsi ludzie odmawiają dr. Rybotyckiemu opieki pielęgniarskiej. A więc, naturalnie, pielęgnuje go całymi dniami Anna Potocka.

W roku 1872 przychodzi na świat pierwsza córka Potockich, Maria, późniejsza hrabina Romerowa, w której domu po latach Anna zamknie na zawsze swe oczy. Jest więc teraz czworo dzieci: Jaś, Józio, Piotruś i Marysia. Ma o kim myśleć i o kogo dbać. Dzieci są niezwykle przywiązane do matki i domagają się stale jej obecności. Godzi swe macierzyńskie obowiązki w jakiś przedziwny sposób z pracą lekarki, pielęgniarki, zielarki, nauczycielki, wspomożycielki cierpiących i pocieszycielki nieszczęśliwych, hojnej dobrodziejki potrzebujących wsparcia materialnego.

Wiele przykrości jest na jej drodze. Gdy w czasie głodnego przednówka dwór oleszycki wydawał darmowe zupy całej okolicy, ludzie korzystali z tego dobrodziejstwa. Gdy z nastaniem żniw, w czasie których można było zarobić pracą, zaprzestano tego wydawania, ludność zaczęła się burzyć a malkontenci głosili, że hrabina dostała od cesarza pieniądze na dożywianie ludzi i je sobie teraz przywłaszcza. W szkole i ochronce ciągłe kwasy i pretensje. Serwituty, które chciał uregulować Stanisław Potocki, spowodowały wrogą reakcję wśród ludności, domagającej się coraz to większych świadczeń dworu.

Największym chyba ciosem, była sprawa kilkunastu karczem, należących do Oleszyc. Anna Potocka



Stanisław Potocki z Rymanowa

uważała, że żydowscy arendarze rozpijają chłopów. Zwolniła więc Żydów i zaangażowała katolików, dając im pieniądze na zagospodarowanie i zakup towarów. Po roku chrześcijańscy karczmarze rozpili się sami i upijali się razem z chłopami, tym właśnie różniąc się od Żydów. Jednocześnie nie płacili za arendę.

Takie i inne podobne wypadki nie zniechęcały Potockiej do pracy społecznej, lecz gnębiły ją bardzo. Interesy majątku szły fatalnie, długi rosły, pożyczali więc, by je spłacić i w ten sposób tworzyli nowe, jeszcze większe zobowiązania. Jak na nieszczęście, przyszły dwa lata nieurodzaju, towarzyszyły im klęski w inwentarzu: pomór bydła i zaraza w stadninie koni. Gospodarstwo stawało się koszmarem, a i zdrowie Stanisława zaczęło niedomagać. Trapił się swym niefortunnym gospodarowaniem i podupadał na duchu. Wtedy pierwszy raz zaświtała myśl, że może lepiej sprzedać te pechowe Oleszyce i kupić inny majątek.[1] W 1872 roku Potoccy, nie doprowadziwszy do końca sprzedaży Oleszyc, podpisali kontrakt kupna Rymanowa.

***

Rymanów był majątkiem oszacowanym na sumę, która przekraczała możliwości Potockich, nawet przy pomocy pani Tytusowej Działyńskiej. Gotówką można było jednak zapłacić znacznie mniej i przejąć długi hipoteczne. Liczyli że za pieniądze uzyskane ze sprzedaży Oleszyc podołają wszystkim należnościom.

Tymczasem sprzedaż Oleszyc przeciągała się, a wkrótce stała się niemożliwa, bo nikt z większą gotówką się nie trafiał, a posiadacz mniejszej sumy bał się wejść w majątek zadłużony. Ta nieszczęsna sprzedaż ciągnęła się jeszcze przeszło dziesięć lat, prawie do śmierci Stanisława Potockiego.

Rymanów nie był majątkiem wielkopańskim, lecz tylko ziemiańskim. Terenów uprawnych było tyle co w przeciętnie zasobnym majątku ziemskim, lasy za to piękne, położenie jeszcze piękniejsze.

Klimat znacznie zdrowszy niż na nizinach oleszyckich, dwór a nie pałac lub zameczek, był domem wygodnym, miłym dla oka, mogącym pomieścić liczną już rodzinę. Anna Potocka bez żalu opuszczała niegościnne jej zdaniem Oleszyce i od razu przylgnęła całym sercem do nowej siedziby.

Urzeczeni byli oboje Potoccy rymanowskim krajobrazem i dobre wrażenie zrobili na nich ludzie ze wsi sąsiednich: od Rymanowa przez Posadę Górną, Deszno, Królik Polski, Królik Wołoski, Bałuciankę i dalej, po Jaśliska. Wsie te, z wyjątkiem Posady Górnej i połowy Deszna, zamieszkiwała przeważnie ludność ruska, później nazwana Łemkami – dzięki przydatkowi "łem", powtarzanym w każdym niemal zdaniu: "łem ja buł, łem ja piszoł" itp. Łemkowie należeli do kościoła greko-katolickiego, do tzw. unitów. Wydawali się ci ludzie godni opieki i sympatyczni. Był to lud cichy, spokojny, o odrębnej rustykalnej kulturze i odrębnym stroju, może nie tyle pracowity co zamiłowany w zajęciach zdobniczo-artystycznych.

Dziś z folkloru łemkowskiego nic prawie nie ocalało, stąd wszystko co się jeszcze ogląda, nie daje obrazu o życiu ludzi, których tu już nie ma. Ale to oddzielny temat.

Gdy Potoccy przyjechali do Rymanowa, była to okolica ludna choć biedna, żyjąca dość prymitywnie, mówiąca po swojemu, odcięta od świata. Anna od pierwszego dnia oczarowana była Rymanowem i ludnością wiejską, bo nieomylne oko artystki odgadło wielkie poczucie piękna wśród tutejszego ludu, które jakby niechcący i nieśmiało emanowało z ich budownictwa, zdobnictwa, stroju, przedmiotów kultu i sprzętów codziennego użytku.

Na razie trudno było o dalsze spostrzeżenia, bo najbardziej zajmowało ich nowe gospodarstwo i nowe warunki bytu rodziny. I znowu trzeba rozważyć rzeczy, które nie miały miejsca. Gdyby Oleszyce były sprzedane od razu i długi Rymanowa spłacone, zaniedbane gospodarstwo rolne i leśne w Rymanowie uległoby korzystnej zmianie. Ale Oleszyce istniały jak zmora spędzająca sen z oczu, a Rymanów wymagał inwestycji. Całą nadzieją był las, nadający się do wyrębu. Na progu rymanowskiego gospodarstwa zjawił się przedsiębiorca, legitymujący się świetnymi referencjami i zawarł z Potockimi umowę, mocą której Potoccy mieli zbudować tartak, przeprowadzić wyrąb drzewostanu na określonej przestrzeni, przetrzeć drewno na deski, a przedsiębiorca kupi te deski po doskonałej cenie. Określono terminy dostawy, wysokość kar umownych i kontrakt wszedł w życie. Wszystko skończyło się klęską.

Budowa tartaku szła niemrawo, w czasie słoty jesiennej nie można było ściągnąć drewna do tartaku, zima przyniosła kilkumetrowe zaspy śnieżne a potem znowu nastąpiły roztopy i bezdroża wiosenne. Nie było potrzebnej ilości koni i wozów, a za wynajem furmanek płaciło się horrendalne sumy. W rezultacie Potoccy nie zdążyli na termin, narosły wielkie kary umowne, rozpoczęły się procesy, awantury i kłótnie. Chcąc całą sprawę załagodzić i skończyć, trzeba było zapłacić przedsiębiorcy kilkadziesiąt tysięcy, opłacić i kary i koszta, wszystko za pożyczone pieniądze. Ta sprawa z punktu przesądziła o tym, że gospodarstwo rymanowskie zaczęło kuleć jak tamto w Oleszycach i w rezultacie Potoccy zamiast jednego, mieli teraz dwa źle zagospodarowane majątki. Rosły zobowiązania, gromadziły się zaległości, stare długi spłacano zaciąganiem nowych. Stanisław nie mógł osobiście gospodarować, bo jeździł szukać nowych pożyczek. Jego nieobecność odbijała się fatalnie na gospodarce, a i zdrowie zaczęło poważnie niedomagać.

Do tych wszystkich trosk dołączyły się gorsze, bo domowe i rodzinne. Dzieci chorowały a w okolicy wybuchła epidemia cholery. Znali ją dobrze jeszcze z Kórnika. Tamta wydawała im się jednak łagodniejsza w porównaniu z tym, co się działo w Rymanowie.

I w tej epidemii dwudziestosiedmioletnia matka czworga dzieci objęła komendę i nad przebiegiem leczenia, i nad swoim domem, i nad wsiami dotkniętymi zarazą, i naturalnie nad mężem. Właśnie nad mężem, bo potwornie bała się o niego. Stanisław Potocki wycieńczony chorobami i zgnębiony fatalnymi interesami, na które nie mógł obmyśleć ratunku, wydawał się żonie specjalnie zagrożony.

Wiosną 1874 roku dwór w Rymanowie stał się dosłownie punktem aptecznym rozdzielającym leki wśród chorych. Tym, którzy leżeli zwaleni chorobą na swych ubogich posłaniach, leki przywoziła hrabina. Naturalnie, o żadnej odpłatności nie było mowy. Odwiedzała Potocka osobiście chorych, niosła radę, lekarstwa i żywność. Tak jak kiedyś w Kórniku, tylko o wiele sprawniej, sama wlewała chorym lekarstwa do ust, sama stosowała nacierania, co miało przynieść ulgę. Przy tym bała się panicznie o męża, o dzieci, o siebie.

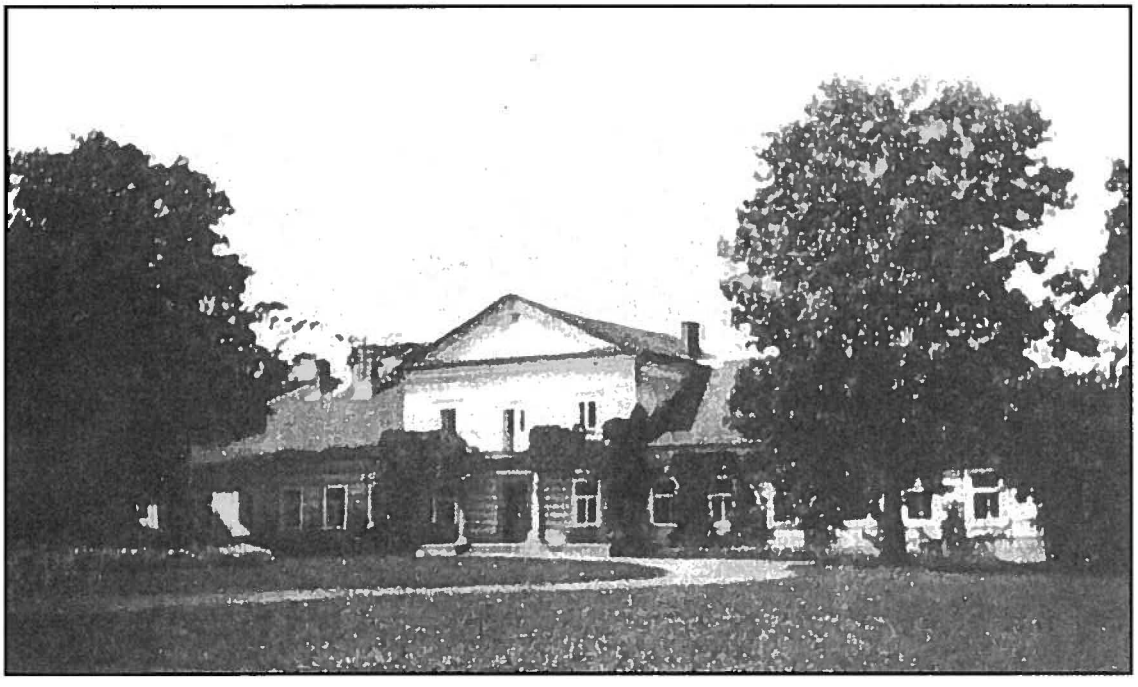
Trzeba było pamiętać, czym była w tych czasach cholera. Zasadniczo nie było na nią ratunku. Na cholerę zmarł ojciec Stanisława, Przemysław Potocki, w czasie pobytu u swej bajecznie bogatej matki, II śl. pani Branickiej w Białej Cerkwi, i wszystkie bogactwa Branickich nie mogły wydrzeć go śmierci. Na cholerę zmarł brat cesarza rosyjskiego, wielki książę Konstanty i wódz naczelny rosyjski feldmarszałek Iwan Dybicz. Cholera oznaczała śmierć, zmarłych na nią chowano na osobnych cmentarzach.

Tymczasem cholera opasała dwór rymanowski ciasnym kołem. Ludzie w zabudowaniach dworskich zaczęli chorować. W kuchni czeladnej i pomieszczeniach dla służby widziało się przerażonych, a może już chorych. Anna Potocka nie mogła szaleńczo narażać dzieci i siebie, tym bardziej, że była znów w ciąży. Za parę miesięcy miał się urodzić jej syn, Paweł. Zostawia więc w Rymanowie zapasy żywności, lekarstw, zamawia pomoc Sióstr Służebniczek, które właśnie przed niespełna rokiem osiedliła w Rymanowie i przenosi się z rodziną do Oleszyc. Do dziś opowiadają w Rymanowie, jak oszalała ze strachu ludność zachowała się wobec siostry służebniczki, która w czasie ratowania chorych sama padła ofiarą epidemii. Tę siostrę, uważając za zmarłą, wywleczono z domu i rzucono do dołu z trupami, które miano nazajutrz zakopać. Nieszczęsna zakonnica obudziła się w nocy z omdlenia i ku przerażeniu ludzi zapukała do okna domostwa. Po kilku godzinach zmarła.

W Oleszycach po przyjeździe Potockich wybuchła ta sama epidemia, co w Rymanowie. Wszystko zaczęło się od początku. Nikt jednak z rodziny nie zachorował, chociaż Anna ani na chwilę nie rezygnowała ze swej roli lekarki i pielęgniarki. Zdumiewające.

***

Po powrocie do Rymanowa, 15 października 1874 roku, Anna Potocka urodziła swego piątego syna – Pawła. Radość z przyjścia na świat Pawełka zdruzgotała choroba Piotrusia. Zaczęła się jeszcze w Oleszycach od ospy. Sprowadzono szczepionkę z Wiednia i nikt już nie dojdzie, na czym polegała pomyłka Instytutu św. Floriana w Austrii. Dziecko zareagowało na szczepionkę strasznymi wypryskami ropnymi na całym ciele, po wyleczeniu dostało niezwykle intensywnej świerzbiączki, cierpiało strasznie, odchodziło niemal od zmysłów. Wreszcie zachorował Piotruś na dyfteryt, który był zwykle nie do wyleczenia w tych czasach. Matka czuwała przy dziecku nocą i dniem,



Dwór w Rymanowie

a Piotruś w przerwach duszącego kaszlu mówił o śmierci, o aniołkach, o niebie, o Matce Boskiej, do której idzie. Wreszcie nie wytrzymał ataku kaszlu i udusił się wśród tej męczarni. Pochowano tego drugiego Piotrusia na rymanowskim cmentarzu. Mogiłka Piotrusia związała już na zawsze Annę Potocką z ziemią rymanowską.

***

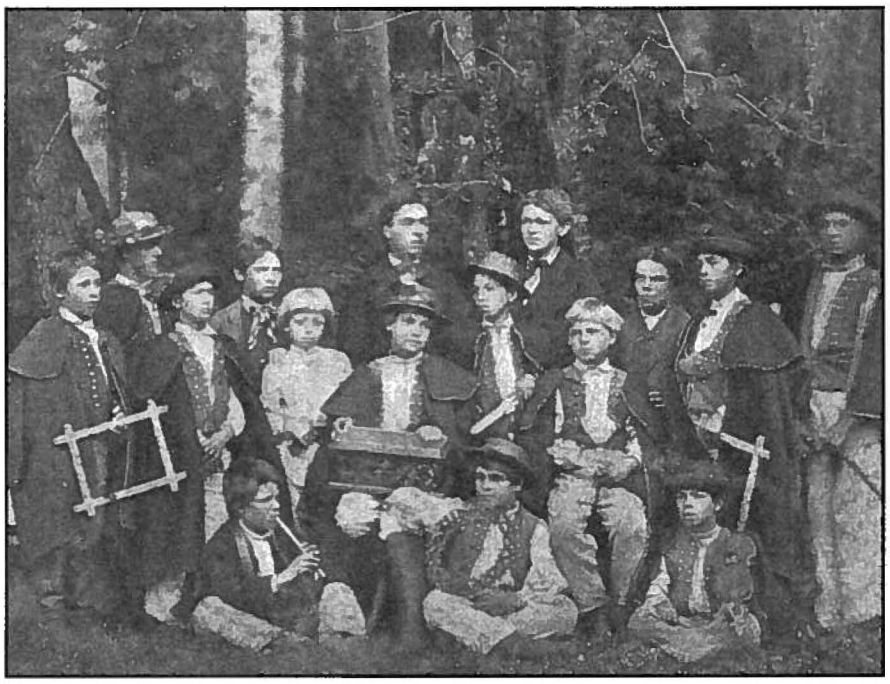
W życiu Anny Potockiej, klęski i przeżycia rodzinne nie mogły stłumić pasji działacza społecznego. Jeszcze przed wybuchem epidemii, zapoczątkowała wraz z mężem to co później wsławiło jej imię w kraju. Zauważywszy niezwykłe uzdolnienia wśród miejscowej ludności, sprowadziła do dworu rymanowskiego znajomych sobie chłopców góralskich z okolicy, głównie Łemków, którzy wyróżniali się łatwością wykonywania prymitywnych, lecz kształtnych figurek w drewnie. Był to początek szkoły rzeźbiarskiej w Rymanowie. Anna, która zawsze i spontanicznie dzieliła się z ludźmi tym co posiadała, chciała koniecznie przekazać "góralskim synkom", jak ich nazywała, choćby część przez siebie nabytych umiejętności.

Już w Oleszycach próbowała w jakiś sposób zużytkować swe uzdolnienia rzeźbiarskie. Nawiązywała kontakty z muzeum we Lwowie, dostała nawet zamówienie na wykonanie figur woskowych typów ludności wiejskiej. Figury te okryte strojami regionalnymi miały być eksponatami lwowskiego muzeum etnograficznego. Niestety, nie miał kto płacić za materiał i sprawa utknęła na niczym.

Teraz w Rymanowie Anna Potocka nie oglądała się na zamówienia. Uczyła rzeźby według z góry nakreślonego planu. Widziała w czasie swych wędrówek lekarskich licznych ludzi bezczynnych w zimie, siedzących w ciasnych, dymnych izdebkach, głodujących, a z nudów zajętych rzeźbieniem prymitywnymi narzędziami, bez należytego oświetlenia warsztatu pracy. Uderzyła ją niezwykłość wykonania figurek, prymitywnych świątków, postaci ludzkich, zwierząt i ptaków. Z nieomylnym wyczuciem rozpoznawała autentyczność uzdolnień plastycznych.

Zasadniczym założeniem szkoły rzeźbiarskiej w Rymanowie było wyuczenie pożytecznego, popłatnego zawodu. Nauka rzemiosła artystycznego miała młodzieży łemkowskiej dać nie tylko zabicie zimowej nudy, lecz przede wszystkim zarobek. Widziała przecież w Niemczech i we Włoszech ludowe wyroby, sprzedawane jako pamiątki turystyczne i to za wcale niemałe pieniądze. Pisała w swym pamiętniku: "Bieda panuje straszna, okropna bieda między ludem, szczególnie góralskim, ale jest jeden kapitał martwy, odłogiem leżący dotąd między nimi – to czas. Ileż go idzie na marne!"

Pani Anna liczyła, że ludowe rzeźby znajdą nabywców w pobliskim zakładzie zdrojowym w Iwoniczu lub w innych tego rodzaju zakładach w Galicji. Głosiła zasadę: "Szkoła nasza nie ma pretensji do wielkiego artyzmu, tylko do przemysłu artystycznego, dającego chleb od razu." Warto przypomnieć słowami Anny Potockiej, jak w jej przekonaniu wyglądało życie chłopów: "Patrząc na ten biedny, niski poziom wychowania i wykształcenia, na jakim lud nasz pozostaje, niczemu się nie dziwię , niczym się nie gorszę! Ileż my w dzieci nasze pakujemy starań, nauk, zasad, a jak często jeszcze niezadowalające zbieramy rezultaty. Czy więc dziwić się będziemy, że nie rośnie – co ani nie posiane, ani nie zasadzone!



Szkółka rzeźbiarska w Rymanowie

I owszem, jeszcze się dziwić należy, że lud ten nie zdziczał, nie zaparł się wiary, nie oddaje się wszystkim bezprawiom. Czy sumiennie możemy powiedzieć, że dwór, szkoły, a nawet, niestety, plebania obowiązki swoje względem ludu spełniały zawsze, żeby przykładem świeciły? Często zaś bieda i nędza po prostu zmuszają do kradzieży. Trudno małe dzieci wychować bez mleka, a trudno jest mieć mleko krowie, która nie je. A więc posyłają dzieci kraść paszę. I biedne dziecko zawczasu tresowane jest do kradzieży. Podobnie jest z drzewem, ze snopkiem zboża. Trzeba czytać jak św. Tomasz zapatruje się na te kradzieże w koniecznej potrzebie popełnione. Dobra doczesne są dane ludziom dla utrzymania życia, a dopiero później dla utrzymania dobrobytu!"

Z tak pojętej filozofii życia narodziła się rymanowska szkoła. Warunki miała skromne. Przegrodzono wielką sień dworu i tam zlokalizowano pracownię i warsztat. Chłopcy – uczniowie nocowali w wydzielonych im stancjach szpitalika folwarcznego, powstałego w chwili osiedlenia się Potockich w Rymanowie. Pani musiała mieć przecież miejsce dla leczenia i pielęgnowania cierpiących, bo bez tej pracy nie rozumiała życia.

Gdy rozeszła się wieść, że we dworze rymanowskim można się uczyć, i to za darmo, a przedmioty tej nauki sprzedawać, zaczęli zgłaszać się uczniowie. Nie było ich nigdy wielu jednocześnie. Zawsze jednak kilkunastu przebywało w Rymanowie, drugie tyle wziąwszy robotę do domu wracało po kilku dniach. Oddawali, co wykonali w domu, przyuczali się do nowej roboty i wracali do siebie, by po paru dniach zjawić się znowu.

Co robili? Początkowo rzeczy najprostsze: ramki, noże do przecinania papieru, kałamarze, ozdobne talerze, lichtarze, szkatułki różnych kształtów, różne podstawki. Słowem, wszystko co dziś sprzedają bazary w uzdrowiskach i sklepy z pamiątkami regionalnymi. Były to rzeczy tym wyżej stojące od dzisiejszych, masowo a nawet fabrycznie wytwarzanych "souvenirów" – bo wykonane były ręcznie, w drewnie, głównie lipowym. Anna Potocka zapewniała po latach: "Szkółka ożywiała cały dom, chłopcy byli przemili, wdzięczni szczerze, weseli. Aż wesoło było w domu, furczały koła tokarni, słychać było to heblowanie - to śpiew."

Inna to była wesołość niż ta, której gwarem rozbrzmiewały dwory i pałace innych polskich i niepolskich hrabin. Wkrótce szkoła potrzebowała fachowych nauczycieli i specjalnej osoby, która zajmuje się gospodarczą stroną młodej instytucji. Pierwszym fachowym nauczycielem była sama pani, pomagał jej pan Stanisław Piątkiewicz, który kosztem Potockich zdobył w Monachium potrzebne kwalifikacje i wkrótce sam został znanym rzeźbiarzem w Galicji. Stanowisko zarządzającej objęła pani Anna Kurcka, przybyła jeszcze do Oleszyc jako wychowawczyni dzieci Anny Potockiej. Gdy starsi chłopcy, Jaś i Józio, przeszli spod jej opieki pod dozór nauczyciela, zajęła się ona stroną gospodarczą szkoły. Dbała o porządek w sypialniach, pedantycznie strzegła czystości i dozorowała by wyżywienie uczniów było smaczne i na czas przygotowane.

O popularności szkoły i napływie nowych kandydatów zdecydowała od początku jej istnienia korzyść materialna uczniów. Nie tylko darmowe wyżywienie, mieszkanie i opieka, ale i zapłata. Potocka z dużym powodzeniem rozwinęła akcję bazarów sztuki ludowej w miejscowościach klimatycznych i zdrojowiskach, urządzała w Rymanowie i innych miejscowościach wystawy połączone ze sprzedażą eksponatów, organizowała stragany z wyrobami swych uczniów na odpustach, jarmarkach i targach. Sprawy szkoły szły lepiej niż rymanowski majątek, który przecież tę szkołę utrzymywał.

Prawie równocześnie ze szkołą rzeźbiarską dla chłopców ruszyła w Rymanowie szkoła koronkarska dla dziewcząt. Ta miała inną organizację. Praca koronkarska miała charakter nakładczy, była to tak zwana "manufaktura rozproszona". Potockich nie było stać na stworzenie internatu dla dziewcząt, nie mogli też żywić uczennic, dlatego też panna Kurcka nagradzała za nauczenie koronkarstwa każdą ze wcześniej poduczonych przez siebie, lub przez hrabinę, sióstr, koleżanek czy sąsiadek. Dziewczęta przychodziły do dworu i tam w ciągu paru godzin uczyły się wykonywania jakiegoś wzoru haftu czy koronki, wracały do siebie, wykonywały zamówienie i uczyły inne.

Po latach córki Potockich były instruktorkami w szkole matki. Obie szkoły istniały w Rymanowie przeszło 10 lat, aż do śmierci Stanisława Potockiego. Później warunki materialne rodziny stały się tak rozpaczliwe, że Anna musiała na jakiś czas opuścić Rymanów. Nikt z tych, co w czasie jej nieobecności ratować niby miał majątek, nie pomyślał o kontynuowaniu działalności tych pierwszych na ziemiach polskich, unikalnych i pionierskich szkół zawodowych rzemiosła artystycznego.

W życiu Anny Potockiej decydujące znaczenie miał rok 1876 i 1877. W pierwszym z tych lat urodziła się jej druga córka Cecylia, a w następnym szósty syn Dominik. W tym też czasie na terenach rymanowskich odkryto lecznicze źródła mineralne. Historia tego odkrycia ma wszelkie cechy baśni ludowej – a działo się to przecież przed zaledwie stu laty.

O osiem kilometrów od miasta Rymanów leży Iwonicz, który w opisywanych latach był już od dawna znanym uzdrowiskiem. Do Iwonicza zjeżdżali kuracjusze z całej Galicji i leczyli się z powodzeniem na choroby narządów ruchu, układu trawienia i układu oddechowego. Anna Potocka bywała w Iwoniczu, bo przyjaźniła się z rodziną Załuskich, właścicieli tamtejszego zdroju, leczyła tam także swoje dzieci, specjalnie Józia, który zapadał w dzieciństwie na choroby gardła.

I właśnie tam, w Iwoniczu, obserwując zbawienne skutki leczenia wodami mineralnymi, doszła do przekonania, że w Rymanowie, którego tereny sąsiadują z Iwoniczem, mogą znajdować się podobne źródła. Powiedziała o tym mężowi. Z właściwą sobie uporczywą gwałtownością i wiarą w powodzenie szukała tych źródeł w rymanowskich lasach, zlecała służbie leśnej poszukiwania, domagała się sprawozdań. I szukano. Próbowano wody z każdego źródełka leśnego, obserwowano brzegi źródlisk, czy nie mają charakterystycznej czerwieni, jak w Iwoniczu. Kilka razy służba leśna natrafiła na czerwone wycieki z rozpadlin, wszędzie jednak źródełka te ledwie się sączyły. Nigdzie nie spotkano silniejszego wypływu wody, która mogłaby zapowiadać mineralną zawartość.

Droga z Rymanowa do Jaślisk prowadziła tą samą co dziś doliną , na dnie której płynie rzeka Taba. Dziś uregulowana na terenie obecnego Rymanowa Zdroju, toczyła wtedy swe wody po szerokim "kamieńcu", żwirowisku obejmującym raz mniej a raz więcej terenu, zależnie od pory roku i pogody w górach. Brzegi Taby należały częściowo do dóbr rymanowskich, a częściowo zostały przydzielone jako działki pastwisk poszczególnym zagrodom włościańskim w okresie uwłaszczenia chłopów.

Tereny po obu stronach doliny rzeki Taby, na obszarach dzisiejszego zdroju, porastał stary las jodłowy, będący własnością Potockich. Dno doliny stanowił jeden ciąg pastwisk, bez widocznego rozgraniczenia, który kawałek kamienistego błonia do kogo należy. Na lesistym zboczu doliny, na lewym brzegu Taby, wznosiła się leśniczówka – mieszkanie i zabudowania dworskiej służby leśnej; ten sam lub bardzo podobny, do dzisiejszej willi "Leśniczówka", budynek drewniany. Anna Potocka lubiła szczególnie to urocze miejsce. Przyjeżdżała tu często z dziećmi, robiła odległe spacery w boczną dolinę aż do wsi Wołtuszowa i na położoną nad nią górę Dział. Droga z dworu w Rymanowie do leśniczówki była kamienista, niewygodna, trząsł niemożliwie każdy pojazd. Lepiej było iść pieszo i patrzeć na bogactwo krajobrazu zalesionych wzniesień, pnących się coraz wyżej w widłach Taby i Czarnego Potoku. Tło tych leśnych głuszy stanowiła od wschodu góra Zamkowa, z resztkami zamku z czasów Królowej Bony, a od południa Żabia Góra i wyżej za nią góra Dział.

Jest pogodny dzień sierpniowy. Dzieci rozbiegły się po lesie. Pani Potocka cieszy się z przypadkowego spotkania z mężem, który właśnie wracał z Jaślisk i zatrzymał konie. Jakby przeczuwając, co ich spotka, wiózł pan Stanisław ze sobą, zaprzyjaźnionego z rodziną, Tytusa Sławika, tak zwanego "technologa", chemika z wykształcenia i zamiłowania, a poczmistrza z zawodu. Pan Sławik, mieszkający w Miejscu, sąsiadującym o milę z Rymanowem, nie wyjeżdżał nigdy bez zestawu "epruwetek" – próbówek i buteleczek z odczynnikami do badania wód. Woził je ze sobą, bo hrabina wciąż suszyła mu głowę, by szukał źródeł słonej wody w lasach rymanowskich.

Byli wszyscy zmęczeni i głodni, poczęli nawoływać dzieci na podwieczorek przywieziony z dworu do leśniczówki. Zeszli się już wszyscy, brakowało tylko ośmioletniego Józia, który widocznie najdalej się zapędził z całej gromadki. Przystanęli, czekając na malca. Wtem nadbiegł Józio zaczerwieniony z emocji i krzyknął: – Tatusiu, tu wszystkie kamienie są czerwone, to musi być to, czego szuka mamusia! Poszli, prowadzeni przez Józia. To tu – wołał i pokazywał swoje odkrycie.

Istotnie, kamienie były czerwone od żelazistego osadu. Drżącymi rękami rozgrzebywali szuter tam, gdzie ta czerwień się rozpoczynała. Grzebali nerwowo, kaleczyli palce, rozrzucali grudy żwiru zlepionego mułem, gdy nagle coś zabulgotało głośno i spod zwału szutru silnie buchnęła woda. Zaczerpnęli dłońmi i zakosztowali tej coraz obficiej wydobywającej się wody. Była słona i smakowała inaczej niż wszystkie, których dotąd próbowali. Tak, to było źródło, źródło mineralne, woda rymanowska. Pan Sławik podbiegł ze swoimi szklanymi naczyniami. Zrobił szybko wstępną analizę. Woda zawierała chlorki, żelazo i jod!

Był 16 sierpień 1876 roku.

***

Pierwsza analiza, przeprowadzona przez Tytusa Sławika, okazała się słuszna. Następnych dokonano we Lwowie i w Wiedniu. Wykazały one, że woda rymanowska, według dzisiejszej nomenklatury, jest szczawą chlorkowo-sodowo-jodkową, bromkową i borową z zawartością hydrowęglanów i żelaza. Była podobna do innych wód leczniczych tego typu, posiadała jednak indywidualne proporcje i połączenia. W Rymanowie istniały więc wody lecznicze, trzeba je ująć i leczyć nimi ludzi.

Odkrycie tych wód nie oznaczało od razu triumfu Anny Potockiej. Przede wszystkim okazało się, że odkryte źródło leży na terenach chłopskich pastwisk. Już 8 października 1876 roku, Stanisław działając w imieniu Anny, hipotecznej właścicielki Rymanowa, zawarł z trzema właścicielami pastwiska układ i dokonał zamiany mało użytecznego dla chłopów kamienistego pastwiska na urodzajne działki uprawne, leżące blisko zagród właścicieli w Posadzie Górnej. Od własności źródła do stworzenia zakładu leczniczego było jeszcze bardzo daleko.

Na wiosnę 1877 roku odkryte przez Józia źródło zasypane zostało w czasie wylewu rzeki grubą warstwą szutru. Koryto rzeki zmieniło bieg i trudno było nawet ustalić, gdzie źródło się znajdowało. Latem tego samego roku Stanisław Potocki przejeżdżając doliną Taby zauważył, że krowy chłopów z Posady Górnej tłoczą się stale w tym samym miejscu, piją chciwie na niewielkiej przestrzeni pod brzegiem, a przeganiane przez pastuchów w innych miejscach

pić nie chcą i wracają do swego ulubionego wodopoju. Potocki parę razy zatrzymał się nad rzeką i obserwował to dziwne zjawisko. Zapytani o to pasący bydło odpowiedzieli, że krowy nie chcą pić w innym miejscu. Zszedł więc z bryczki, a że nie miał żadnego naczynia zdjął sztywny mankiet, zwinął go w kształt lejka, zaczerpnął wody i skosztował. Woda była słona, lekko szczypała w język jakby gazowana, a na jej powierzchni pojawiły się maleńkie baniecz-ki. Zaczerpnął wody powtórnie i rozpoznał ten sam smak, który zapamiętał z zeszłorocznego odkrycia. A więc gdzieś tu blisko jest źródło.

Rozpoczęło się gorączkowe poszukiwanie. Sprowadzono całą służbę z Rymanowa, zatrudniono ludzi z Posady Górnej i Deszna. Rozgarniano szuter i ziemię łopatami tam właśnie, gdzie krowy piły tak chętnie. Oboje Potoccy z łopatami w rękach towarzyszyli poszukiwaniom. Po kilku dniach pracy spod łopaty jednego z pracowników, który głębiej wbił ją w ziemię, trysnęła woda z taką siłą, że stojący obok usunęli się z przestrachem. Siła tego "wybuchu" była nieporównywalnie większa niż w przeszłym roku. Sprowadzono ze Lwowa dwie pompy Noela i pompowano wodę ze źródła dniem i nocą, chcąc się przekonać o wydajności źródła. Badanie wykazało obfitość zdroju, pozwalającą na eksploatację w skali uzdrowiska.

Później nastąpiły dalsze analizy wód rymanowskich, określenie ich wartości przez komisje uczonych, dokładne a nawet drobiazgowe analizy chemiczne. Do Rymanowa przybyły oficjalne komisje ze Lwowa i z Wiednia. Proces badawczy użyteczności wód trwał do roku 1879. Potoccy otrzymali odpowiednie dokumenty, mocą których władze dopuszczały źródła w Rymanowie do eksploatacji celem leczenia ludzi.[2]

Tegoż jeszcze roku przybyli do Rymanowa pierwsi pacjenci. Pisała o Rymanowie prasa całego kraju. Annie Potockiej nadano honorowe członkostwo Towarzystwa Tatrzańskiego "w uznaniu dotychczasowych zasług około podniesienia dobrobytu ubogiej ludności górskiej". Było to uznanie za całokształt jej pracy społecznej i dobroczynnej, za odkrycie źródeł leczniczych i zapowiedź uruchomienia zakładu zdrojowo-kąpielowego, za założenie i prowadzenie szkół rzemiosła artystycznego, Towarzystwa Zaliczkowego dla chłopów i Kasy Oszczędności. I taką bowiem społeczną pracę mieli Potoccy na swoim koncie. Położyli ogromne zasługi w historii ruchu, organizującego i wspomagającego rolnictwo galicyjskie. Stworzyli pierwsze ogniwo pomocy, wspieranej później przez władze, dla gospodarstw chłopskich. Takie Kasy Oszczędności i Towarzystwa Zaliczkowe zakładali Potoccy wcześniej jeszcze, w czasie pobytu w Oleszycach.

Pomagał im w tej pracy młody ksiądz, Stanisław Stojałowski, zapalony społecznik, przejęty nędzą wsi i koniecznością pomocy biedakom, zepchniętym na margines społeczny. Jego nazwisko stanie się głośne za dwadzieścia lat w całym cesarstwie austriackim. Usłyszą o nim we Francji i w Rzymie. To wtedy Anna Potocka poda rękę prześladowanemu przez władze Stojałowskiemu i odważnie będzie bronić swego dawnego współpracownika.

***

W tym samym 1877 roku, gdy urodził się Dominik Potocki i ważyły się losy przyszłego zdroju, Anna Potocka znalazła czas i siły, aby udać się z pobożną pielgrzymką do Gietrzwaldu, w okolice Lidzbarka Warmińskiego w zaborze pruskim. Słynne cudowne objawienia Matki Bożej ściągały tam tłumy pielgrzymów. Anna była gorliwą katoliczką, nie mogło jej tam zabraknąć. Zdumiewa tylko, jak mogła podołać wszystkim obowiązkom życiowym i przedsięwzięciom, jakich się podejmowała. Rymanowskie gospodarstwo domowe pochłaniało dużo czasu. W domu pełno rodziny i gości, pracuje szkoła rzeźbiarstwa, dziewczęta uczą się koronkarstwa i haftu, czas zajmują sprawy Kółek Rolniczych i Kas Pożyczkowych. Ani na chwilę ta zdumiewająca kobieta nie przerywała leczenia ludności wiejskiej. Prowadziła wciąż szpitalik, codziennie odwiedzała chorych, bywała w chatach chłopskich na przestrzeni kilku czy nawet kilkunastu kilometrów. Z tych wyjazdów wracała z pękami ziół, które suszyła fachowo, oznaczała polskimi i łacińskimi nazwami, sporządzała proszki i wywary.

Udzielała się w pracach założonego przez męża Towarzystwa Tkackiego. Brała udział w uroczystości koronacji obrazu Matki Boskiej w Nowej Wsi, gdzie miał miejsce ogromny zjazd duchowieństwa z nuncjuszem papieskim włącznie i na który przybyły tysiące pielgrzymów. A przecież organizujący się Zdrój absorbował ją także. A w domu miała sześcioro małych dzieci, z których najmłodsze miało kilka miesięcy. Są na to świadectwa w relacjach ludzi, że czasem całą noc siedziała przy chorym lub grymaszącym maleństwie, by później od rana być na swych rozlicznych posterunkach. Skąd ta kobieta o kruchym i wątłym zdrowiu, delikatna i chorowita brała na to wszystko siły i hart ducha? Trudno odpowiedzieć na to pytanie.

***

W styczniu 1880 roku urodził się siódmy z kolei syn Potockich – Antoni. Do chrztu trzymali go w pierwszej parze brat najstarszy Antosia, trzynastoletni Jan z panną Anną Kurcką, opiekunką dzieciństwa starszych chłopców. W drugiej parze dwunastoletni Józef z panną Józefą Śliwińską, która od początku małżeństwa Potockich była w domowych sprawach prawą ręką Pani i należała jakby do rodziny. Te chrzestne pary są jakby symbolem rodziny rymanowskiej i dowodem istotnej więzi Potockich z domownikami.

Antoś jest już dzieckiem ostatnim. Od ślubu Potockich upłynęło 14 lat. Mają teraz siedmioro dzieci, pięciu synów: Jana, Józefa, Pawła, Dominika i Anto-

niego oraz dwie córki: ośmioletnią Marynię i czteroletnią Cecylię.

***

Dnia trzydziestego marca tego samego roku zmarł "tknięty paraliżem" w swym zamku kórnickim Jan Działyński, ostatni po mieczu z wielkiego rodu, jedyny brat Anny Potockiej. Cały swój ogromny majątek, wszystkie zbiory muzealne i biblioteczne zapisał Władysławowi Zamoyskiemu, swemu siostrzeńcowi i ciotecznemu bratu w jednej osobie. I właśnie ten wyraz "zapisał" budzi wątpliwość. Sparaliżowany i pozbawiony mowy, skinieniem głowy i wyrazem oczu oświadczył pytającemu go notariuszowi i świadkom, że potwierdza testament, podyktowany władzy państwowej przez matkę i żonę. Pisząc o Annie Potockiej nie można pominąć tego faktu. Wybór spadkobiercy dokonany przez Działyńskiego był na pewno słuszny. Osobowość Zamoyskiego gwarantowała umierającemu, że majątek Działyńskich utrzyma i przekaże komuś równie godnemu lub całemu narodowi. Działyńscy bowiem swój wielki majątek i nagromadzone zbiory uważali zawsze za depozyt narodowy, dla narodu przeznaczony.

Anna Potocka mogła liczyć na majątek braterski, może nie cały i nie dla niej, ale choćby w części dla swych dzieci. Proces o obalenie testamentu, zważywszy scenerię poprzedzającą śmierć Działyńskiego, był możliwy i wygrana prawdopodobna, a aktualna sytuacja majątkowa Potockich rozpaczliwa. Odkrycie zdroju stwarzało konieczność ciągłych nakładów finansowych i to przez wiele lat. Podkreślić trzeba stanowczo, że Anna nigdy nie stworzyła nawet pozoru podważenia testamentu brata. A przecież żaden lekarz nie stwierdził poczytalności umierającego i były przykłady obalenia dużo wiarygodniejszych testamentów. Ani w pamiętniku, ani w korespondencji Potockiej nie ma śladu pretensji do brata. Jest tylko wymowne milczenie, którym pokryła jego śmierć. Do takiego milczenia zdolni są jedynie ludzie, którym obce są "małe sprawy" i myśli o możliwości wzbogacenia się.

***

Nie sprzedane Oleszyce i powstający zakład zdrojowy, wciąż rosnące długi, płatności procentów i szukanie nowych kredytów, ciągle jakieś nadzieje na transakcje mające przynieść dochód, a przynoszące stratę, nieudane inwestycje i niewątpliwa łatwowierność Stanisława Potockiego w interesach – oto obraz prawdziwego stanu rzeczy gospodarki rymanowskiej.

Próbowali się ratować sukcesją po bogatym wuju Potockiego, Ksawerym Branickim, który właśnie zmarł we Francji. Otrzymali wprawdzie wysoką sumę zapisu paryskiego krewniaka, ale ta nie ratowała, lecz odwlekała nieuniknioną zda się klęskę i bankructwo. Rozwijający się Zdrój pochłaniał każdy dochód z majątku. Trzeba było budować łazienki, wznosić budynki mieszkalne dla kuracjuszy, tworzyć całe zaplecze gospodarcze, angażować i opłacać ludzi, organizować transport dla zaopatrzenia i komunikację dla gości.

Pierwsze sezony wykazały rosnącą popularność Zakładu, a Anna Potocka objawiła zdumiewające zdolności organizacyjne i niezwykłą umiejętność współżycia z trudnymi i bardzo nieraz wymagającymi kuracjuszami. I właśnie fakt, że jej marzenia oblekają się w rzeczywistość, powiększał jeszcze boleść płynącą z przekonania, że przyjdzie sprzedać majątek i Zdrój, a cały powstały w jej myślach plan stworzenia wielkiego zakładu kuracyjnego runie bezpowrotnie.

Sprzedano wreszcie Oleszyce. Po śmierci pani Tytusowej Działyńskiej w roku 1883 uzyskano jeszcze jakieś spadkowe pieniądze, ale stan interesów Rymanowa był tak fatalny, że każdy termin płatności procentów, rat i długów groził katastrofą i koniecznością sprzedaży majątku. Do tego wszystkiego zdrowie Stanisława pogorszyło się gwałtownie. Miał on, jak się wydaje, wrodzoną wadę funkcjonowania nerek. Schorzenie to uczynnia się zwykle pomiędzy czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, kończy się uremią i śmiercią. Czuł się raz lepiej, raz gorzej. W roku śmierci pani Tytusowej próbował wiosną kuracji w Karlsbadzie, ale opadał z sił, niestosowna dieta nie eliminująca soli, tłuszczów i wina, pogarszała stan zdrowia i samopoczucia. Na jesieni 1883 roku doznał wylewu krwi do mózgu, mówił z trudnością, miał niedowład kończyn.

W tej sytuacji zrozpaczona żona pozostawiła dzieci, całe rymanowskie gospodarstwo i wyjechała z mężem do Krakowa. Tu korzystali najpierw z gościny krewnych, potem zamieszkali w wynajętym mieszkaniu. Lekarze nie ukrywali krytycznego stanu pacjenta.

Przed świętami Bożego Narodzenia Stanisław Potocki poczuł się lepiej. Telegraficznie wezwano Jasia, Józia i Pawła, uczących się w szkole jezuickiej w Tarnopolu. Z Rymanowa zawsze nieoceniona panna Śliwińska przywiozła młodsze dzieci. Radość zmieszana z bólem – oto jak określiła te święta po latach Anna. Stanisław dogorywał i to dobrze wiedzieli najbliżsi. Malutkie drzewko płonęło blaskiem świeczek tak samo, jak niegdyś wielka jodłowa choinka w rymanowskim salonie. Przełamali się opłatkiem, śpiewali kolędy. Codziennie przychodził ksiądz Morawski z komunią świętą do chorego.

Po świętach Anna Potocka nie pozwoliła starszym chłopcom wracać do Tarnopola, a młodszych odwieźć do Rymanowa. Chciała, by były z ojcem do końca. Pozorna poprawa zdrowia Stanisława okazała się złudna. 20 stycznia zażądał sprowadzenia spowiednika. Do śmierci przygotował go kapucyn o. Leopold Lendzian, niegdyś konspirator patriotyczny i więzień carski z cytadeli warszawskiej. Jest coś symbolicznego w tej absolucji, której udzielił były więzień cytadeli byłemu więźniowi z Kamienia Podolskiego.

Nazajutrz rano Stanisław Potocki rozpoczął codzienny swój pacierz. Gdy wypowiedział słowa: "Wie-

rzę w Boga Ojca" - głos mu się załamał i ucichł. Z oczu pociekły łzy. Nastąpił ostatni wylew w mózgu. Jeszcze raz odetchnął głęboko i skonał. Wezwano pośpiesznie o. Mizerę z pobliskiego klasztoru dominikanów, który namaścił ciało olejami świętymi.

W Krakowie wstawał zimowy poranek. Był poniedziałek 21 stycznia 1884 roku. Stanisław zmarł w wieku 47 lat.

***

Pogrzeb Stanisława Potockiego odbył się bardzo uroczyście. Pochowany został w kaplicy książąt Lubomirskich w Bazylice Dominikańskiej w Krakowie. Egzekwie odprawili obaj biskupi krakowscy, a więc książę biskup Dunajewski, przyszły kardynał i biskup Janiszewski, sufragan krakowski. Mszę celebrował i kazanie wygłosił ksiądz proboszcz rymanowski, a do krypty grobowej trumnę znieśli strażacy z Rymanowa. Rodzina Stanisława i Anny opiekowała się wdową i sierotami w tych dniach żałoby.

We wszystkich trzech zaborach ukazały się nekrologi i żałobne wspomnienia. W jednym z tych wspomnień napisano: "Twarz i postawę miał taką, jak jeden z Pilawitów dzierżących kiedyś buławę. Ten sam rycerski wyraz twarzy, podobnie podniosły nastrój ducha, tylko starej nie było w nim dumy".

Stanisław Potocki był człowiekiem, który całe życie próbował ratować swą rodzinę przed katastrofą materialną, całe też życie pracował społecznie, dając przykład dobrej woli i ofiarności. Usiłował zawsze rachować i wszystkie rachunki go zawiodły, ale to do czego dążył i czemu nie podołał w życiowych wyliczeniach, stanowi największą i nieprzemijającą wartość jego ziemskiej wędrówki.

***

Położenie materialne wdowy i dzieci po śmierci Stanisława Potockiego było rozpaczliwe. Całe gospodarstwo rymanowskie, a więc majątek ziemski i Zdrój zdawały się być na skraju przepaści. Groziła licytacja. Swe kosztowności, otrzymane jeszcze kiedyś po Działyńskich, zastawiła jeszcze za życia Stanisława w lombardzie we Lwowie. W Krakowie zastawiła nawet swą polisę asekuracyjną, gdy tu przywiozła chorego męża. Po jego śmierci znalazła się w wynajętym mieszkaniu zupełnie bez środków do życia. Rodzina krakowska: Potoccy z Krzeszowic, dwie rodziny Lubomirskich, brat Antoni z Olszy i brat cioteczny Czorba, wystąpiła z planem ratowania sytuacji. Pierwszym warunkiem w obiecanym ratunku miało być zobowiązanie wdowy, że do Rymanowa z dziećmi nie wróci, da plenipotencje rodzinie na administrowanie majątkiem, do sprzedaży Rymanowa włącznie i że zrzeknie się opieki nad starszymi synami, a sama z młodszymi dziećmi pójdzie na łaskę do siostry generałowej i zamieszka w którymś z jej folwarków jako rezydentka.

Warunki były twarde, lecz do przyjęcia, zważywszy opłakany stan interesów. Do przyjęcia – lecz nie dla Anny Potockiej. Zaraz po śmierci męża odsyła synów do szkół, a sama jedzie do Lwowa, wyjednuje u bogatych krewnych wykupienie z lombardu kosztowności, a następnie sprzedaje im te precjoza za sumę nieznacznie przewyższającą koszta wykupu. Za otrzymane pieniądze płaci najbardziej palącą ratę długu w banku austriackim, a z resztą pieniędzy powraca do dzieci do Krakowa. Tu likwiduje kosztowne dość mieszkanie przy ulicy Stolarskiej i wynajmuje małe i tanie mieszkanko przy ulicy Wolskiej, gdzie przenosi się natychmiast z panną Śliwińską i młodszymi dziećmi. Antoni Potocki z Olszy, w porozumieniu z panią Augustową Potocką i z jej funduszów, płaci za szkołę i internat starszych chłopców.

Nie wiem, czy która z pań z arystokracji, współczesnych Potockiej okazałaby taką energię i stanowczość. Opieki nad starszymi dziećmi nie wyrzeknie się, z młodszymi na niczyją łaskę nie pójdzie, a Rymanowa będzie bronić. Na razie pozostanie w Krakowie, niech krewni próbują ratować, ale plenipotencji na sprzedaż majątku i Zdroju nie da. Nikt z jej otoczenia nie znał jeszcze energii córki Tytusa Działyńskiego, stanowczości zwłaszcza, która wyzwoliła się w niej w tej najtrudniejszej chwili życia. Nie rezygnowała ani z dzieci, ani z Rymanowa i temu zasadniczemu celowi postanowiła wszystko podporządkować.

Mieszkanie na ulicy Wolskiej było na pierwszym piętrze, ale posiadało jeden pokój na parterze. W tym pokoju założyła Anna Potocka pracownię "przedmiotów z terakoty". Jeden z uczniów rzeźbiarskiej szkoły w Rymanowie ofiarował swą pomoc i razem ze swą dawną dobrodziejką i nauczycielką rozpoczął pracę, która i jemu, i Potockiej dała utrzymanie. Rozpoczął się wyrób przedmiotów użyteczności codziennej o walorach artystycznych. W skromnej pracowni powstawały kosze na kwiaty, drobiazgi na biurko, podstawy do lamp, figurki krakowianek, poznanianek i lirników ukraińskich.

Na tak zwanych "wentach", bazarach i straganach znalazły się w Krakowie rymanowskie rzeźby. Od pierwszej sprzedaży płynęły pieniądze, dając niezależność. Równocześnie znalazła Potocka uznanie wśród krakowskiego świata artystycznego, jej wyroby chwalił Juliusz Kossak, Józef Siedlecki i Stanisław Witkiewicz.

Już na pierwsze, po śmierci męża, lato chciała Anna wrócić do Rymanowa, ale rodzina nie zezwoliła. Bała się jej dobroczynności i miłosierdzia, by nie wróciła do swych rymanowskich zwyczajów świadczenia ubogim i w majątku, i w Zdroju.

Mówiąc o tych wszystkich sprawach, wspomnieć trzeba o przedziwnej propozycji, z jaką się spotkała zaraz po śmierci męża. Otrzymała oto list od najbogatszego z Potockich, Stanisława z Brzeżan, który zaproponował adoptowanie Jana i Józefa i przekazanie im swego ogromnego majątku. Anna Potocka wiedziała, że pan na Brzeżanach rozmyślnie chce pominąć swego syna Jakuba, wątpiąc w to że jest jego sy-



Anna z Działyńskich Potocka z dziećmi
po śmierci męża, Stanisława Potockiego z Rymanowa

nem. Ta która żyła z pracy swych rąk, odmówiła grzecznie magnatowi. W parę lat później niezrażony Stanisław z Brzeżan udzielił pożyczki na inwestycje w Rymanowie Zdroju, kiedy już sama przejęła zdrojowe gospodarstwo.

Anna Potocka nie mieszkała długo w Krakowie. Po kilkunastu miesiącach doniesiono jej z Rymanowa, że rata długu w banku austriackim nie została zapłacona w terminie przez krewnych-opiekunów i że majątkowi grozi licytacja. Pojechała wtedy do Kórnika i poprosiła Władysława Zamoyskiego o pomoc. O dziwo, człowiek ten hojny tylko na cele społeczne, ale skąpy dla siebie i innych w sprawach osobistych, nie odmówił Annie pomocy. Ratę w banku austriackim zapłacił, sam przyjechał do Rymanowa, aby pomóc wydzierżawić majątek, bo właśnie znalazł się kandydat na dzierżawcę. Sama obecność Zamoyskiego, człowieka nieprzeciętnie bogatego, podniosła kredyt Potockiej u tych, u których go szukała. Dzierżawca kontrakt podpisał, zapłacił gotówką znaczną sumę za inwentarze żywe i martwe, spłacono najpilniejsze długi.

Anna Potocka opuściła teraz z dziećmi Kraków i nie mogąc zamieszkać we dworze rymanowskim, który zajął dzierżawca, ulokowała się w malutkim domku na wołtuszowskim folwarku i zwolna poczęła wracać do swej roli właścicielki uzdrowiska. Teraz dopiero odetchnęła. Pierwszy etap ratunku Rymanowa i niezależności rodziny był już za nią. Ten krótki etap życia był chyba najtrudniejszy i najbardziej wymagający samodzielności, śmiałych decyzji i żelaznej konsekwencji. Zadziwiła wszystkich, ale najbardziej chyba rodzinę, która nie wierzyła w możność ocalenia Rymanowa.

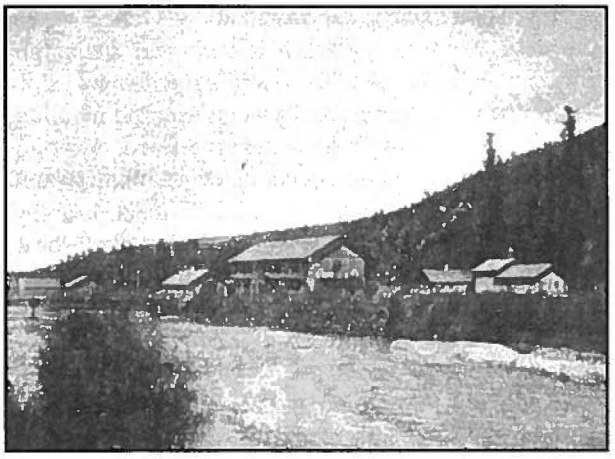
***

Rozpoczyna się teraz dziesięcioletni prawie okres, w którym Anna Potocka rozwinęła Zdrój Rymanowski, a przez zorganizowanie pierwszej w Galicji kolonii leczniczej dla dzieci uczyniła Rymanów punktem zainteresowania całego kraju. Doszło do tego, gdy zachwyceni klimatem i wodami rymanowskimi działacze społeczni ze Lwowa: Włodzimierz Gniewosz i Władysław Zontag zaproponowali Annie stworzenie w Rymanowie stałej kolonii letniej. Potocka ofiarowała dla kolonii obszerny teren i budulec a Towarzystwo, stworzone we Lwowie, pieniądze ze składek społecznych.

W ciągu paru lat stanęły trzy okazałe i nowoczesne, jak na owe czasy budynki, w których corocznie w dwóch, a później trzech turnusach najbiedniejsze dzieci z miasta znajdowały wypoczynek i kurację. Rymanów posiadał już stację kolejową, którą jeszcze staraniem Stanisława Potockiego zlokalizowano o dziesięć kilometrów od Zdroju. Pionierska idea stworzenia kolonii, pomoc i zaangażowanie Anny w tę sprawę, podniosły jej autorytet w dziedzinie spraw społecznych w całej Galicji.

Jak grzyby po deszczu wyrastały na terenie Zdroju budynki przeznaczone dla kuracjuszy. Potocka dawała chętnym place i budulec oraz kontrakt dzierżawny na eksploatowanie zbudowanej willi w ciągu 30 lat. Po tym czasie budynki te miały przejść na własność Zdroju. Dzięki temu mądremu pomysłowi Zdrój prędko się rozbudował. Wtedy też za pożyczone od Stanisława Potockiego z Brzeżan pieniądze zbudowała Anna Potocka słynny "Dworzec Gościnny", z niemiecka zwany kurhausem. Później zwany Domem Zdrojowym, stylowy drewniany budynek, zaprojektowany przez architekta Eliasza Radzikowskiego, według najnowszych wówczas zasad budownictwa kurortowego, posiadał restaurację, hotel i wielką salę balową.

Zamiłowana artystka, czuła na to co piękne, strzegła Potocka zabudowy Zdroju i nadała mu charakter jednolitego stylu harmonizującego z górskim krajobrazem. Od stylu zakopiańskiego przyjęto ogólne zasady budownictwa drewnianego o charakterze górskim, uzupełniono miejscowymi wzorami ludowymi, widocznymi na rzeźbionych szczytach domów i poszerzono o elementy szwajcarskiej zabudowy górskiej. Ze szwajcarskich wzorów, gorliwie przez Potocką propagowanych, przyjęło rymanowskie budownictwo wysokie podmurowania kamienne i wyższe niż w stylu tatrzańskim drewniane słupy, na których opiera się zadaszenie otwartych szerokich werand. Wykonawcami tych budynków były trzy generacje rodu Kilarów, niezwykle utalentowanych cieśli rymanowskich. Wielkie zasługi dla rozwoju Zdroju i kolonii dziecięcej miał dr Józef Dukat, długoletni lekarz zdrojowy, działający w uzdrowisku już za życia Stanisława Potockiego. On to umożliwiał w czasach gospodarowania Anny Potockiej właściwe funkcjonowanie kurortowej służby zdrowia, a przez 10 lat nie pobierał od Towarzystwa kolonii żadnych honorariów. Aby zdać sobie sprawę z widocznego postępu w rozwoju Zdroju, spójrzmy na kilka liczb:



Pierwsze domy i pierwsza kaplica w Rymanowie-Zdroju



Dawne łazienki w Rymanowie Zdroju

W roku 1885 zakład dysponował 32 łazienkami i tyloma wannami. W następnych latach liczba łazienek podnosi się nieznacznie, lecz stale. Za to liczba kuracjuszy i wydanych kąpieli rośnie zdumiewająco. W tymże roku kuracjuszy w sezonie było 651, kąpieli wydano 13.122. W roku 1887 kuracjuszy jest już 959, kąpieli ponad 18 tysięcy, a w rok później liczba kuracjuszy przekroczyła tysiąc osób, a kąpieli wydano ponad 22 tysiące.

Z pierwszej kolonii leczniczej w Rymanowie skorzystało 23 dzieci. W dziesięć lat potem 114, w następnych latach corocznie było ich ponad 300.

***

Budowa Zdroju nie zahamowała wcale dobroczynnego dzieła Anny Potockiej. W pałacach bogatych krewnych mówiono jej córce: "Nic nie masz, bo twoja matka wszystko dziadom rozdaje."

Zapewne było w dobroczynności obojga Potockich coś, co nie godziło się z ustalonym porządkiem rzeczy w innych rodzinach. Opowiadano w Galicji o tym anegdoty. A to że Stanisław Potocki, nie mając gotówki na wsparcie jakiegoś petenta, dał mu swój złoty zegarek, a to że Anna pożyczyła na wieczne nieoddanie jakiemuś wydrwigroszowi własne futro. Ale opowiadano również o hojnym jak nigdzie zaopatrywaniu pogorzelców, o niezwykłych aktach łaski hrabiny, która biedakowi kazała z dworskiej obory wyprowadzić najlepszą krowę. Gdy Potocka jechała powozem z Rymanowa do Zdroju, co jakiś czas kazała przystawać, gdyż na drodze oczekiwali ją biedacy, pewni doraźnego wsparcia.

W dobroczynności obojga Potockich było zapewne coś z szaleństwa, ale chyba z szaleństwa bożego, o którym mówią prorocy i poeci. Te pozory nie były jednak istotą miłosierdzia Anny. Kryła się w nim myśl zupełnie realistycznej pomocy biedakom, potrzebującym chleba, poprzez dostarczanie pracy, za którą ten chleb mogli zdobyć. Tak było w rymanowskiej szkole rzeźbiarskiej i koronkarskiej, tak stało się i w Zdroju. Ubodzy rymanowscy i podrymanowscy mieszkańcy, którym kurort dawał pracę i utrzymanie, mieli także możność budowania własnych domów, przeznaczonych dla kuracjuszy, przywożących ze sobą środki materialne, o jakich kiedyś mieszkańcom tej okolicy nawet się nie śniło.

Wystarczy dziś przejechać drogą z Rymanowa - miasta przez Posadę Górną, Zdrój i Deszno, aby się o tym przekonać. Te dostatnie, przestronne, zasobne zabudowania powstałe za pieniądze przywiezione przez kuracjuszy, są zasługą działalności Potockiej. Zdrój Rymanowski za rządów Anny a potem Jana Potockiego zawsze dysponował darmowymi kąpielami dla ubogich i roztaczał nad nimi opiekę lekarską. Zawsze najbiedniejsi mogli pożywić się w kuchni zdrojowej, a najbardziej potrzebujący pomocy nie odeszli od hrabiny bez zaopatrzenia. Ludzie o tym nie zapomnieli. Do dziś krążą opowiadania przekazywane z pokolenia na pokolenie.

***

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych dorosłały starsze dzieci Anny Potockiej. Córki uczyły się u Urszulanek w Krakowie, Jan i Józef ukończyli szkoły średnie. Obaj odbyli służbę wojskową jako jednoroczni ochotnicy. Jan później studiował mechanikę w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach i odbył praktykę w Truskawcu, należącym wówczas do księcia Adama Sapiehy. Młodszy Józef praktykował w poznańskich majątkach ziemskich, ucząc się rolnictwa. Szybko też założyli własne rodziny.

Jan w 1892 roku ożenił się z Różą hrabianką Wodzicką z Olejowa, córką znanego rodu arystokracji galicyjskiej. Józef znalazł żonę w poznańskim, była nią hrabianka Helena Czarnecka, córka zamożnych właścicieli Rakoniewic i Pakosławia.

Obydwie młode pary zamieszkały w Rymanowie, gdzie uradowana matka przygotowała im mieszkanie. Od razu powstał projekt, że Jan zajmie się Zdrojem, a Józef majątkiem ziemskim. Żaden z nich nie chciał opuszczać Rymanowa. Należało wreszcie zlikwidować sprawę długów, uniemożliwiających normalną działalność. Jedyną drogą do tego było uruchomienie posagu obydwu synowych, ale sprawa ta odwlekała się jakoś. Tymczasem w 1893 roku cała rodzina przeżyła tragiczny wylew Taby, który o mało co nie zniszczył doszczętnie urządzeń zdrojowych. Wezbrana rzeka przesunęła pawilon źródlany. Drewniane wanny z łazienek wypływały przez rozbite drzwi i okna. Anna Potocka z bohaterską determinacją próbowała bronić Zdroju przed strasznym żywiołem. Nie licząc się z wątłymi siłami i potęgą burzy, przedarła się do źródeł przez spienione fale, narażona na śmierć od uderzenia płynących wśród rwącej wody belek, desek, całych drzew, zerwanych strzech i dachów domów wiejskich. Zdawało się jej, że coś poradzi, że pomoże, że zasłoni.

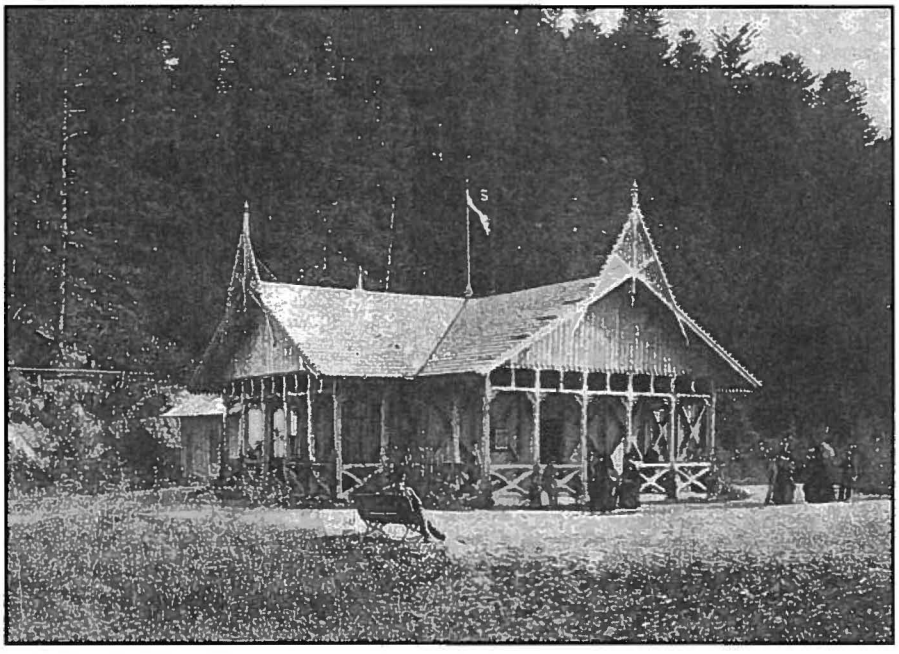
Tym razem dopisało jej szczęście. Z szaleńczych zapasów z żywiołem wyszła żywa, a wody Taby nie zniszczyły ujęć źródeł. Trzy główne studnie: Tytus, Celestyna i Klaudia pozostały nienaruszone.

***

Rok 1894 przyniósł wielkie zmiany w życiu Anny Potockiej; ważne, szczęśliwe, ale też i tragiczne. W styczniu urodził się w Pakosławiu u Czarneckich najstarszy wnuk Anny, Stanisław, ukochany Staś, który w przyszłości gospodarował w Rymanowie aż do dramatycznego 1944 roku. W lutym zaś odbył się ślub Cecylii ze Stanisławem Reyem. Śliczna osiemnastoletnia córka Potockich brała ślub w Poznaniu, a przyjęcie weselne urządzono w pałacu Działyńskich. Dzień ślubu Reyów był triumfem Anny. Przywiązana do tradycji rodu, tą poznańską uroczystością wskazywała na przedłużającą się gałąź potomków Tytusa, wobec zamierającej linii kórnickiej Władysława Zamoyskiego. Była to ostatnia uroczystość rodzinna w Pałacu. Zrobiła wielkie wrażenie w Poznaniu, pan młody i goście wystąpili w kontuszach. O tym weselu pisały gazety, a jego obraz przetrwał długo w relacjach naocznych świadków.

Na wiosnę 1894 roku przyszło do decyzji w sprawie Rymanowa. Bliski krewny Załuskich, właścicieli Iwonicza, książę Michał Ogiński dawał wysoką sumę płatną gotówką, która mogła wyposażyć Jana i Józefa, zapewnić byt ich matce i umożliwić spłacenie wszystkich długów. O młodszych synów była Anna Potocka spokojna, bo Paweł, Dominik i Antoni otrzymali z podziału schedy po pani Augustowej Potockiej z Wilanowa znaczne legaty. Decyzja nie była łatwa. Czy skorzystać z uśmiechu losu i ten wybroniony jakoś szczęśliwie, ocalony przez nią i Opatrzność Rymanów sprzedać, zabezpieczając się na resztę życia. Czy utrzymać go dalej i ryzykować walkę z losem o jego przyszłość.

Od ćwierćwiecza przyzwyczaiła się do tych trudności, do zawiłych rachunków, do pełnych napięcia niepowodzeń. W trakcie szamotaniny z losem przeżyła śmierć męża, sama została z gromadą dzieci, którym nie dała się z sobą rozłączyć i dla których stworzyła



Pawilon nad źdódłami rymanowskimi

wizję spokojnego brzegu po latach burz i przeciwności. Tym brzegiem spokojnym był Rymanów, a wizją przyszłości – Zdrój.

Poza tymi względami były i inne. Gdzie będzie taki jak w Rymanowie las z ziołami leczniczymi? Jak może już na zawsze nie być panią Rymanowską i parafianką tutejszego kościoła. Kto siądzie w jej ławce kolatorskiej i spojrzy z miłością w słodkie oblicze rymanowskiej Madonny, kto skończy budowę zdrojowego kościółka. Kto będzie dbać o Drogę Krzyżową zwaną Kalwarią – o owe czternaście kapliczek, z takim trudem wzniesionych i z taką miłością rzeźbionych.

W tym natłoku myśli uporczywie rysuje się decyzja: Rymanowa nie sprzeda. Niech toczy się życie rodzinne tu, gdzie los ją rzucił, gdzie ona i dzieci pokochali miejsce, dom, kościół, Zdrój, las pola i ludzi. Tu jej dzieci nauczyły się kochać. Niech tu uczą swe dzieci miłości do ziemi i ludzi. Nie ma takich sum, choćby największych i związanych z nimi dostatków, które mogą zastąpić własne gniazdo.

To była decyzja ostateczna. Synowie rozporządzali już przecież posagami żon, za które można było spłacić wszystkie rymanowskie zobowiązania. Notariusz w Sanoku sporządził akt sprzedaży i kupna: Anna z Działyńskich Potocka sprzedała synowi Janowi Zdrój rymanowski wraz z okolicznymi lasami. Józef kupił od matki majątek ziemski i drugą część lasu. Obaj zobowiązali się spłacić długi i wyposażyć siostry.

Annie Potockiej nie pozostało nic. W czterdziestym ósmym roku życia zgodziła się wyzbyć całego majątku i albo przejść na łaskawy chleb do któregoś z synów, albo rozpocząć nowe życie samodzielne i poświęcone pracy społecznej. Łatwo domyśleć się jaką drogę wybrała.

***

Ale na razie ten rok 1894 nie był skończony. Po radościach i twórczych decyzjach czekał ją jeszcze cios trudny do przeżycia, i tym straszniejszy, że niespodziewany. Syn Paweł, który studiował w Grazu, odebrał sobie życie. Ten średni syn nastręczał zawsze największych zmartwień. W domu był trudny do prowadzenia, tak samo w internatach szkolnych. Naturę miał skrytą, wybuchową i porywczą. Albo nie chciał się uczyć wcale, albo uczył się świetnie. Raz był skłócony z otoczeniem szkolnym, innym razem przywiązywał się do kolegi, korepetytora lub nauczyciela, ponad zwykłą miarę. Wśród chwilowych zapałów do nauki zdał maturę, czego nikt nie był pewien, sądząc po jego poprzednich wynikach. Odbył jednoroczną służbę wojskową bez żadnych wstrząsów i zapisał się na studia w Austrii.

Nie będziemy analizować przyczyn tej śmierci. Była to jakaś nieszczęśliwa miłość, której impulsywny i gwałtowny chłopak nie umiał przeżyć. Głęboka religijność Anny Potockiej została śmiertelnie zraniona tą niezrozumiałą dla matki śmiercią. Od zupełnej rozpaczy broniła ją jednak wiara w Opatrzność i sprawiedliwość bożą, a także obecność obu córek, synów i ich rodzin.

***

Reyowie zamieszkali tymczasem w willi "Nagłowice" na terenie Zdroju, tuż obok "Leśniczówki". Janowie przygotowywali sobie własną siedzibę, również w Zdroju, Józefowie zagospodarowali się już we dworze rymanowskim. Anna Potocka zamieszkała w "Leśniczówce" ze starszą córką Marią, która następnie w 1896 roku wyszła za Tomasza hr. Romera, oficera kawalerii i razem z mężem opuściła Rymanów.

Dla Anny Potockiej rozpoczyna się nowy rozdział życia, bardzo ważny w jej pracy społecznej. Nie zaniedbując dzieci i wnuków, nie omijając drogich jej domów i spraw, jeszcze bardziej niż zwykle poświęca się pracom społecznym, czynom miłosierdzia, pasji ziołolecznictwa i rzeczy nowej, którą jednak można było przewidzieć w jej życiu – publicystyce.

Pani Rymanowska, bo tak godzi się zwać Annę Potocką, zawsze "rada chwytała za pióro". Jej przeliczna korespondencja, której niestety po zniszczeniach drugiej wojny światowej pozostały tylko strzępy, dowodzi że w epistolografii polskiej XIX wieku zajmuje poczesne miejsce. Niewątpliwie oprócz rozlicznych talentów posiadała i talent literacki. Jej wspomnienia zawarte w pamiętniku są dziełem pisarskim znacznego poziomu, jej listy cechuje precyzja, swoboda i umiejętność pięknego wyrażania się w piśmie. Dlaczego jednak nazwaliśmy Panią Rymanowską publicystką?

Fakt że pozostawiła ponad dwadzieścia pozycji bibliograficznych ogłoszonych drukiem, nie świadczy jeszcze o tym że była publicystką w pełni tego słowa znaczeniu. Zdarzali się ludzie, u których łatwość pisania graniczyła z grafomanią. Anna Potocka była publicystką, bo swe pisma i większe całości literackie poświęcała zawsze ważnym, aktualnym problemom społecznym i ludziom, którzy tych pism potrzebowali i z nich korzystali.

Będzie tu jeszcze miejsce na omówienie tej części jej działalności, na razie wypada się zająć wydarzeniem najważniejszym, które na tym etapie życia Anny spopularyzowało, czy może nawet rozsławiło jej osobę w całym społeczeństwie galicyjskim. W działalność Anny Potockiej wtargnęła bowiem sprawa księdza Stanisława Stojałowskiego .

***

Przypomnijmy sobie, że ów ksiądz był przyjacielem i towarzyszem pracy społecznej wśród chłopów obojga Potockich w Oleszycach i Rymanowie. Od początków tej pracy minęło 20 lat, a osobowość, poglądy i działalność księdza wielce się zmieniły. Od doktryny poetyckiej Zygmunta Krasińskiego "jeden tylko jeden cud, z szlachtą polską polski lud" Stojałowski doszedł do radykalizmu społecznego.

Krytykę rządów galicyjskich i kierujących nią polityków, przeważnie arystokratów, wyrażał w coraz ostrzejszych słowach. "Krzywdzą chłopa – głosił Stojałowski – władze państwowe, obszarnicy, przemysłowcy, handel, całe życie gospodarcze. Krzywdzą chłopa nie uregulowane serwituty, prawie feudalne bezprawie administracji obszarniczej. Stawki płacone robotnikom rolnym są nędzarskie, oświata ludowa prawie nie istnieje, niski poziom umysłowy wsi jest utrzymywany przy współudziale dworów ziemiańskich". I dalej: "Chłop – żywiciel kraju jest niewolnikiem, a przymus pracy kiedyś ściśle fizyczny jest de nomine ekonomicznym, choć fizycznym wcale nie przestał".

Władzom galicyjskim niemiłe były, oczywiście, takie słowa, głoszone przez księdza w dwóch czasopismach, których był właścicielem. Gdy jednak w "Wieńcu" i "Pszczółce" zaczął imiennie atakować najwyższych dostojników krajowych, władze miały już dosyć działalności proboszcza z Kulikowa.

Początkowo wzywano ks. Stojałowskiego do lwowskiej kurii arcybiskupiej, do starostw, nawet do namiestnictwa. Usiłowano go jakoś uciszyć, jeśli nie przekonać, to nastraszyć, ale bez skutku. Później władza krajowa chwyciła się środków administracyjnych, umiarkowane początkowo represje zmieniły się w akcję dyskryminacyjne, nie przebierające w środkach. Wreszcie sprawą buntującego się księdza zajął się z urzędu hrabia Kazimierz Badeni, c.k. namiestnik. Badeni umiał pozbywać się wrogów i gnębić przeciwników. Zaczynają się sypać na Stojałowskiego wyroki sądowe, grzywny i kary, prokuratorzy wszczynają śledztwa, komornicy dokonują zajęć i licytacji. Ks. biskup sufragan lwowski Jan Puzyna suspenduje księdza i każe mu opuścić parafię.

Natrafiły na siebie dwie władcze natury. Stojałowski obok wielu zalet, obok czystości zamierzeń i szlachetności programu, posiadał cechy podobne do Puzyny. Był ambitny, apodyktyczny, samowolny i nieustępliwy. Wyborny kaznodzieja, człowiek w gruncie rzeczy uczuciowy i skłonny do wzruszeń, był krańcowy w przekonaniach i postępowaniu. Urodzony przywódca, podporządkowujący sobie otoczenie, nie myślał wcale ugiąć się i ustąpić. Początkowo podporządkowany Kościołowi, zarówno pod względem wiary jak i organizacji, stał się jeszcze gorliwszy w sprawach wiary, ale nieprzejednany w sprawach swych idei.

Opuszcza Kulików, chroni się na Śląsku Cieszyńskim, czasowo przebywa w Czacy na Węgrzech i nie zaprzestaje swej działalności poprzez gazetki i wiece, przemawia i pisze. Biskupi galicyjscy w zbiorowym liście pasterskim zakazują wiernym czytania i słuchania księdza Stojałowskiego. W odpowiedzi Stojałowski atakuje biskupów. Wreszcie biskupi sięgają po najstraszniejszą broń pozostającą w ich ręku, ogłaszając 30 czerwca 1896 roku klątwę kościelną na Stojałowskiego. Ze wszystkich ambon padają słowa anatemy. Nie tylko przestaje być kapłanem, ale nie ma wstępu do kościołów, nie wolno mu przystępować do sakramentów. Gdyby wszedł do kościoła w czasie mszy, należy ją przerwać. Nie wolno z nim obcować ani udzielać pomocy. Anatema, anatema! Palą się czarne świece przy jej ogłoszeniu, w niektórych parafiach głucho warczą werble jak na pogrzebie. Bo ma to być śmierć cywilna.

Anna Potocka zdawała sobie sprawę ze zdolności i najlepszych intencji wyklętego. Była świadoma ogromnej szkody, jaką poniesie społeczeństwo, gdy straci wybitnego przywódcę biedoty i rzecznika sprawy porozumienia pomiędzy ludnością polską i ruską. Ale Potocka była też gorliwie praktykującą katoliczką i klątwa kościelna znaczyła dla niej więcej niż najokrutniejsza nagonka władz.

Należy więc działać tak aby Kościół zdjął klątwę z księdza Stojałowskiego. Na słynnym wiecu w Rymanowie dnia 18 października 1896 roku, gdy zjawił się Stojałowski, mimo klątwy entuzjastycznie witany przez ludność, Anna Potocka woła: "do Rzymu księże Stanisławie prosić o zdjęcie klątwy, teraz słuchać cię nie wolno".

Ponieważ prasa rozgłosiła, że hrabina Potocka z Rymanowa popiera wyklętego przez Kościół, Pani Rymanowska śle sprawozdania do prasy, która o dziwo je ogłasza. Sprawa nabiera rozgłosu. Na jednym biegunie hrabina Alfredowa Potocka z Łańcuta wypowiada się publicznie, że "ta osoba", mówiąc o Potockiej z Rymanowa, "winna być ekskomunikowana". Na drugim biegunie znajduje się opinia szerokich mas społecznych, zachwyconej odwagą i prawością Potockiej.

Anna Potocka pisze: "Wszyscy wiedzą, że sprawa ludu jest mi co najmniej tyle droga, co księdzu Stojałowskiemu. Jak taki człowiek ma ćwierćwiekowe zasługi w sprawie oświaty i umoralnienia ludu, jakich nikt przed nim nie miał i ponoć nawet w przybliżeniu mieć nie będzie, to się tego zapominać nie godzi. Z takim człowiekiem, jeśli walczyć w jakiejś sprawie - to otwarcie i szlachetnie, przypisywać zaś mu najpodlejsze zamiary – to podłość".

Anna Potocka srzuciła wyzwanie całemu systemowi politycznemu i układowi społecznemu, swemu środowisku arystokratycznemu, z odwagą i nieprawdopodobną śmiałością. Hierarchia kościelna nie zwleka z odpowiedzią. Biskup Jan Puzyna, który został właśnie księciem biskupem krakowskim, zabrania Antoniemu Potockiemu z Olszy urządzenia w jego domu przyjęcia weselnego córki Anny Potockiej, Marii, wychodzącej za hrabiego Romera. Piętnuje też postępowanie Potockiej w gwałtownych i twardych słowach.

Ale Potocka z Rymanowa też działa. Zainteresowała sprawą Władysława Zamoyskiego i siostrę generałową. Władysław dał pieniądze, generałowa listy polecające do wybitnych księży francuskich. We Francji wystąpienia księży społeczników cieszą się poparciem Rzymu, podczas gdy w Galicji dzielą oni los Stojałowskiego. Wyklęty trybun ludu dał się przekonać,

wyjechał do Francji, aby tam szukać poparcia demokracji chrześcijańskiej, działającej według programu kardynała Langenieux. Uzbrojony w poparcie księżypolityków francuskich udał się ks. Stojałowski do Rzymu i tam, po dłuższych a skomplikowanych działaniach popierających go postępowych duchownych, osiągnął cel. Klątwa została z niego zdjęta.

Prawie jednocześnie Stojałowski odniósł wielkie zwycięstwo polityczne. Stworzona przez niego partia, zdawała się słaba i bez zaplecza finansowego, odniosła sukces w wyborach, wprowadzając do parlamentu austriackiego kilka własnych posłów.

Ataki na księdza w cale nie ustały, szkalowano jego imię, głoszono że jest agentem carskim. I teraz Anna Potocka udziela mu swego poparcia. Trafia do znajomych biskupów, pisze listy do wysoko postawionych polityków, w ostrych, jak zwykle, słowach atakuje występujących przeciwko Stojałowskiemu. Jej ostre słowa nie omijają nawet ciotecznego brata, księcia Adama Sapiehy. Wszystko w imię prawdy i przekonania że księdzu dzieje się krzywda. Umiała bronić tych którym ufała.

Obawiano się, że zrozpaczony, szczuty i tropiony jak zwierzę, może przejść na stronę schizmy i poszuka w panslawistów związków z kościołem prawosławnym. Ksiądz Stojałowski nie został wodzem schizmy, ale też nie został na stałe wodzem ludu, a jego radykalizm stracił na ostrości. Ugiął się przed znienawidzoną przez siebie władzą, utracił stanowisko w masach ludowych, stanowisko, jakie on jeden miał pierwszy i jedyny raz społeczeństwie polskim w Galicji.

Trzeba stwierdzić, że odpowiedzialność za to ponosiła w jakiejś mierze Anna Potocka. W jej przekonaniu uratował swe zbawienie wieczne, nie spowodował rozłamu w Kościele i uległ jego władzy duchowej. Uważała, że ratując katolickość Stojałowskiego czyni najlepiej. Wykazała przy tym niebywałą odwagę, płomienną szlachetność i wzbudziła podziw w społeczeństwie. Podziw ten w jej otoczeniu i wśród jej zwolenników graniczył często z uwielbieniem.

***

Zniszczenia które przyniosła ostatnia wojna światowa i czasy pomniejszania zasług w przeszłości, wyrządziły ogromną szkodę w utrwaleniu oceny niezwykle rozległej działalności Anny Potockiej. Ale i to, co pozostało, pozwala po latach ocalić od zupełnego zapomnienia jej heroiczną drogę wytrwałej działalności leczniczej i pionierską pracę badawczą, prowadzoną w zupełnej izolacji, nad wartością roślin w leczeniu ludzi.

Potocka nie miała studiów lekarskich, przyrodniczych czy farmaceutycznych. Badaniom swym umiała jednak nadać kształt naukowy, wytrwale określała rośliny, gromadzone w zielniku według klucza naukowego, nazewnictwa łacińskiego i przydatności w terapii. Była zbieraczem roślin a zarazem lekarzem – zielarzem. Ziołolecznictwo stosowane przez lat sześćdziesiąt dało jej bogate doświadczenie, ale lekarska intuicja pozwalała stosować zioła w praktyce. Badania młodych naukowców ostatnich lat, prowadzone w Akademii Medycznej w Krakowie, przyniosły "krytyczne opracowanie farmakobiologicznych rękopisów Anny Potockiej". Wykazały przedziwną zgodność stosowanej przez nią terapii z przyjętymi dziś zasadami, określonymi przez najwybitniejszych naukowców.

Bibliografia wydanych drukiem prac Anny Potockiej liczy, jak już wspomniano, dwadzieścia pozycji. W dalszych czterech, o nieustalonym autorstwie, wiele wskazuje na pióro Potockiej. Z tych pewnych dwudziestu pozycji, czternaście poświęconych jest leczeniu ludzi i stosowaniu ziół w lecznictwie. Sześć pozostałych - różnym sprawom społecznym, kulturalnym i charytatywnym.

Prawdziwym bogactwem, pozostawionym przez Annę Potocką są jej rękopisy, a więc: "Choroby dziecinne", "Cierpienia kobiet" i "Przepisy domowego leczenia". Jest to sześć zeszytów, ujętych alfabetycznie, najczęściej spotykanych schorzeń wśród ludności wiejskiej, z przepisami leczniczymi, opartymi głównie na wodolecznictwie i ziołolecznictwie, stosowanymi przez autorkę.

Po raz trzeci walczyła też Anna Potocka z epidemią cholery w Rymanowie, w 1893 roku, tym razem już jako doświadczona lekarka. Rok później wydaje broszurę "Uwagi o ratowaniu wsi dotkniętej cholerą".

Wielodzietną matkę, nauczycielkę młodzieży, założycielkę kolonii leczniczej w Rymanowie obchodziły chyba najbardziej choroby dziecięce. W roku 1912 ukazała się we Lwowie książeczka jej pióra: "Poradnik dla matek w wychowaniu maleńkich dzieci i pielęgnowaniu ich w chorobach". Była zawsze zwolennikiem medycyny ludowej, uzupełnianej środkami farmakologicznymi z przepisu lekarza. Wiedziała bowiem, że ograniczać się wyłącznie do tego, co poradzi lekarz, jest na wsi galicyjskiej zupełnie nierealne. Lekarz docierał do małego pacjenta rzadko, najczęściej za późno. Lekarz na co dzień – to matka, ją więc należało oświecić i nauczyć.

W czasie pierwszej wojny światowej Anna Potocka współpracowała z Polskim Komitetem Ratunkowym w Vivey, a później z książęco-biskupim komitetem "K.B.K." w Krakowie, który zorganizował słynne kolumny sanitarne do walki z epidemiami.

Doświadczenia tych lat zawarła w stu stronicowej książce "Ratujmy dzieci", która ukazała się drukiem w 1918 roku. Uzupełnieniem rad i przepisów lekarskich, zawartych w tym wydawnictwie była publikacja "Przepisy praktyczne na czas wojny i niedostatku". Zawierała ona oprócz szeregu rad gospodarsko-żywieniowych także przepisy pielęgnacji chorych. W tym przypadku Potocka rozszerzyła tylko pouczenia zawarte w książeczce "Ap-

teczka domowa", która została wydana jeszcze przed pierwszą wojną światową.

Doskonałe były jej rady leczenia i pielęgnacji w przypadkach gruźlicy, szkarlatyny, rachityzmu, szkorbutu, innych chorób zakaźnych i niezakaźnych, będących plagą ówczesnej wsi. Anna była lekarką wierzącą w siły organizmu ludzkiego i skuteczność właściwie stosowanych lekarstw. Nie kapitulowała przed najgroźniejszą nawet chorobą, głosiła uleczalność. Walczyła zaciekle o życie pacjenta, nie rezygnując z żadnej szansy ratowania, przekazywała swój optymizm i pacjentowi, i jego rodzinie. Jej broszurki "Epilepsia uleczalna" i następna "Rak" sugerują, że obie te straszne choroby mogą być uleczone, byle walka wypowiedziana im była w porę.

***

We własnej rodzinie Anna Potocka niosła pomoc lekarsko-pielęgnirską obydwu pokoleniom, dzieciom i wnukom. Były w tej praktyce przypadki sprowadzające na nią bolesną bezradność. Przy niej umierali dwaj kolejni mężowie jej córki Cecylii, Stanisław Rey w roku 1898 i dr Karol Kaczkowski w 1902. Nie uleczyła synowej, żony Jana Potockiego, Róży z Wodzickich, która zmarła też w 1902 roku. Nie uratowała rocznego wnuka, Antosia Kaczkowskiego. Na jej oczach odchodzili z najbliższego kręgu ludzie o tyle od niej młodsi, małe dzieci, które powinny żyć, a których uratować się nie dało. Z wrodzonym sobie optymizmem zwracała się wtedy do tych żyjących, którzy ją otaczali, niosła słowa krzepiące, pełne wiary w opiekę Opatrzności, słowa potrzebne i skuteczne.

***

W latach poprzedzających pierwszą wojnę światową, Anna Potocka przebywała często u swej siostry, generałowej Zamoyskiej, w Kuźnicach koło Zakopanego. Nie były to tylko odwiedziny rodzinne. Wysiedlona przez władze pruskie z Kórnika, Jadwiga Zamoyska przeniosła się do zaboru austriackiego, gdzie syn jej zakupił dobra zakopiańskie. Do Kuźnic przeniosła swą szkołę gospodarstwa domowego dla dziewcząt, prowadzoną poprzednio w Kórniku. Szkoła Gospodyń i Nauki Domowego Gospodarstwa przeznaczona była dla przyszłych żon i matek, prowadzących gospodarstwo domowe, a oparta na potrójnej pracy: fizycznej, duchowej i umysłowej.

Funkcjonowała na zasadzie podziału uczennic na dwie grupy. Pierwszą i zasadniczą stanowiły panny "z dobrych domów", przeważnie ziemiańskich, drugą dziewczęta z rodzin "prostych", chłopskich, rzemieślniczych czy robotniczych - materiał na gospodynie i kucharki. Anna Potocka była w Kuźnicach bardzo potrzebna. W pamięci uczennic pozostała jako kopalnia przepisów lekarskich, sposobów plantacji i wykorzystania ziół lekarskich, jako nauczycielka udzielania pierwszej pomocy chorym. Uczyła pielęgniarstwa, sporządzania leków, wdrażania zasad higieny i profilaktyki.

Pani Rymanowska zdawała sobie sprawę ze swej roli w Kuźnicach. Oddała się pracy uczenia dziewcząt, z takim samym entuzjazmem jak kiedyś, gdy uczyła dzieci w Oleszycach, a później młodzież w Rymanowie. Przez wiele lat była niezastąpioną nauczycielką i wychowawczynią, dzielącą się zawsze hojnie swoją wiedzą i doświadczeniem. Oto słowa modlitwy dziękczynnej przez nią ułożonej: "Dzięki pokorne Boże, za stałe uczucia moje, że Tobie miła ta praca, której celem zapoznanie szerszych kół z cudami dzieł Twoich i która dopomagać ma ludziom do spełniania dobrych uczynków względem biednych Twoich w chorobie, a także ma wzbudzać w ubogim kraju moim nową gałąź zarobku, tym pożądańszego, że i słabym rękom dostępnego".

W ostatnich słowach modlitwy ten sam motyw, co w wcześniejszych rozmyślaniach. Pomagać ludziom, ale konkretnie, by zwalczali niedostatek materialny przez owoce swej pracy.

W Kuźnicach nie przebywała nigdy stale, bo starzejącą się kobietę przyciągała powiększająca się wciąż rodzina. Najmłodszy syn, Antoni ożenił się 1909 roku z Krystyną Trzecieską z Miejsca, bliskiego sąsiedztwa Rymanowa. W Rymanowie Zdroju dom Jana przyciągał babkę gronem licznych wnuków. Troje z pierwszego małżeństwa: Aleksander, Teresa i Jadwiga oraz dzieci z drugiego małżeństwa Jana z Marią Szajer, którą Anna ceniła jako świetną gospodynię zdrojowego gospodarstwa. Przed wojną z tego małżeństwa urodzili się Ignacy, Zofia i Maria, a zaraz po wojnie Jan, najmłodszy ze wszystkich wnuków.

Rodzina Antoniego Potockiego mieszkała w Korzeniowie, w pobliżu Ocieki, gdzie gospodarowali Romerowie. Dwóch synów Antoniego, Andrzej i Jerzy urodzili się w Miejscu Piastowym[3] i Rymanowie, a u Romerów były już cztery córki: Jadwiga, Maria, Anna i Katarzyna. Młodsza córka Stanisława i Anny Potockich, Cecylia, po tragicznym końcu dwóch małżeństw wyszła za mąż za Lucjana Ceglińskiego. Młodzi Reyowie, Stanisław i Ludwik, wyrośli na pięknych chłopców, a ich matka cieszy się teraz dwoma córeczkami, Marią i Anna Ceglińskimi. Mieszkają w Janowie koło Mińska Mazowieckiego, gdzie często przebywa Pani Rymanowska.

A we dworze rymanowskim oprócz Stanisława, pierwszego wnuka, dorastają cztery jego siostry: Anna, Beata, Elżbieta i Maria. Przedostatni syn Anny Potockiej, Dominik, z małżeństwa z Heleną Badenianką ma troje dzieci: Cecylię, Annę i Stefana. Prawdziwa to armia wnuków, jak mawiał kiedyś Tytus Działyński.

Przychodzą i nieszczęścia rodzinne. W ostatnim roku pierwszej wojny światowej zmarł niespodziewanie, nie przeżywszy całych lat pięćdziesięciu, ukochany syn Anny, Józef Potocki, wkrótce poszła za nim jego żona. Oboje spoczęli na rymanowskim

cmentarzu. Życie idzie naprzód. We dworze rymanowskim gospodaruje teraz pierwszy z wnuków, Stanisław z żoną Józefą z hr. Brzozowskich. Przychodzą na świat pierwsze prawnuki. Odchodzi na zawsze rodzeństwo Anny Potockiej. W 1899 zmarła, zawsze poważnie chora, Cecylia Działyńska, ostatnia co nosiła to nazwisko, po niej księżna Czartoryska i Maria Grudzińska.

Długowieczna generałowa przeżyła wojnę światową w Paryżu, zjechała do Polski po wojnie i dożywała swych dni w Kórniku. Syn jej na trwałe zapisał się w dziejach kultury polskiej, przez utworzenie Fundacji Kórnickiej, której zgodnie z niepisana wolą dziada Tytusa i wuja Jana Działyńskiego, zapisał swój ogromny majątek i bezcenne zbiory muzealne, biblioteczne i archiwalne.

Anna Potocka, przywiązana do wszystkiego co miało związek z jej dzieciństwem, przed objęciem przez Fundację pałacu poznańskiego prosiła o zwrot różnych drobiazgów, które z jej młodością były związane. Zapisanie dostatków rodzinnych ojczyźnie przyjęła jako rzecz naturalną. Drobiazgi rodzinne zastrzegła sobie.

Pani Rymanowska jest już w jesieni swego życia. Zdrowie coraz słabsze, ciało coraz bardziej zmęczone, choruje, ale i teraz zachowuje młodzieńcze przyzwyczajenia. Czy jest u syna Antoniego w Olszy, którą odziedziczył po stryju, czy w Janowie u Ceglińskich, czy w Ociece u Romerów, czy w Rymanowie u Jana lub też wnuka Stanisława, czy w Krakowie u Dominika-- wstaje wcześnie, latem pracuje w ogrodzie, dogląda ziół. I jak zwykle przyjmuje chorych, opatruje rany, aplikuje leki, podnosi na duchu i każe wierzyć w wyzdrowienie.

Patrzy na swe dzieci i wnuki. Opatrzność jest dla niej łaskawa, bo w sensie materialnym jest im lepiej, niż jej było niegdyś. Wszyscy swą pracą i szczęśliwymi sukcesjami stali się ludźmi zamożnymi. Uratowany przez nią Rymanów rozwija się pięknie. I Zdrój i majątek.

Beata Potocka, wnuczka z Rymanowa, jest żoną Adama Branickiego, panią na Wilanowie. Z siostrą Adama, Jadwigą Branicką ożenił się ukochany wnuk, Stanisław Rey. Pani Rymanowska gości na chrzcinach prawnuczki, Anny Branickiej, jest najdostojniejszym gościem Branickich. Gdzie te czasy, gdy przybywała do Wilanowa jako biedna Potocka do najbogatszych Potockich.

Szczęśliwa jest ta niestrudzona jesień życia. Zbliża się osiemdziesięciolecie. Piękne są słowa jej testamentu:

"Jeżeli chcecie uczcić pamięć moją, dzieci moje, kochajcie się między sobą. Co bądź by was rozdzielało, łatwiej wam będzie przejść przez to ciężkie życie i duszę moją tym uradujecie na tamtym świecie, że służycie jedno drugiemu".

Na jesieni 1925 roku zdrowie Anny Potockiej zaczęło bardziej niedomagać. Nastąpiły obrzęki nóg, bóle głowy, osłabienie wzroku, ogólne wyczerpanie. Pojawiła się niewydolność krążenia i arytmia serca. Zażądała, by Ceglińscy przewieźli ją z Janowa do Ocieki. W kwietniu 1926 roku zdrowie jej podupadło, tak że nawet na pisanie listów była za słaba.

Krwawy przewrót majowy w Warszawie oburzył Annę Potocką. Już po jej śmierci znaleziono na stoliku przy łóżku początek listu do marszałka Józefa Pił-



Wille „Pod Matką Boską" i „Leliwa". Widok z kortów tenisowych.
Fot. autor nn. Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka z Iwonicza Zdroju



RYMANÓW-ZDRÓJ. Łazienki

Pocztówka ze zbiorów Mariana Terleckiego z Krosna

sudskiego, któremu słała gniewne słowa oburzenia za krew bratnią rozlaną w stolicy.

Córka Tytusa Działyńskiego miała prawo do tego protestu. Pani, która przez całe życie "rada chwytała za pióro", pisała po raz ostatni i to nie w sprawach osobistych czy rodzinnych.

Od 20 maja są przy niej: owdowiała niedawno córka Maria Romerowa i jej córki Maria i Anna, młodsza córka Cecylia Ceglińska z mężem i dziećmi, syn Antoni z żoną, syn Dominik, wnuk Stanisław Rey z żoną i żona wnuka, Aleksandra Potockiego, Elżbieta. Umierająca z radością słyszy z ust dzieci i wnuków, że są wdzięczni matce i babce, bo jej właściwie wszystko zawdzięczają. Ciągle pyta o nieobecnych, trapi się, że tyle kłopotów sprawi wszystkim swoim pogrzebem. Jak zawsze martwi się nie o siebie, lecz o najbliższych.

Drugiego czerwca przyjęła jeszcze sakramenty święte. Po zmówieniu modlitw poczuła się lepiej. Syn Antoni i wnuk Stanisław unieśli ją na poduszkach, chciała jeszcze mówić, nie mogła. Skinęła, by podali jej ołówek i papier. Wierna nawykowi życia pisała w chwili śmierci. Parę słów do Dominika, który zmylony polepszeniem zdrowia matki wyjechał, lecz obiecał wrócić niebawem. Ołówek wypadł z ręki, oczy objęły najdroższych, zgromadzonych przy niej. Oddychała jeszcze.

Z ogrodu szedł zapach pięknych, ocieckich kwiatów. Piękny boży świat gaśnie w oczach, jeszcze jakieś obrazy ukwieconego ogrodu – Ociecka, Rymanów, Kórnik, aleja parku w Konarzewie, gdzie bawiła się w najwcześniejszym dzieciństwie. I błogi spokój spłynął na ostatnie tchnienie Pani Rymanowskiej.

***

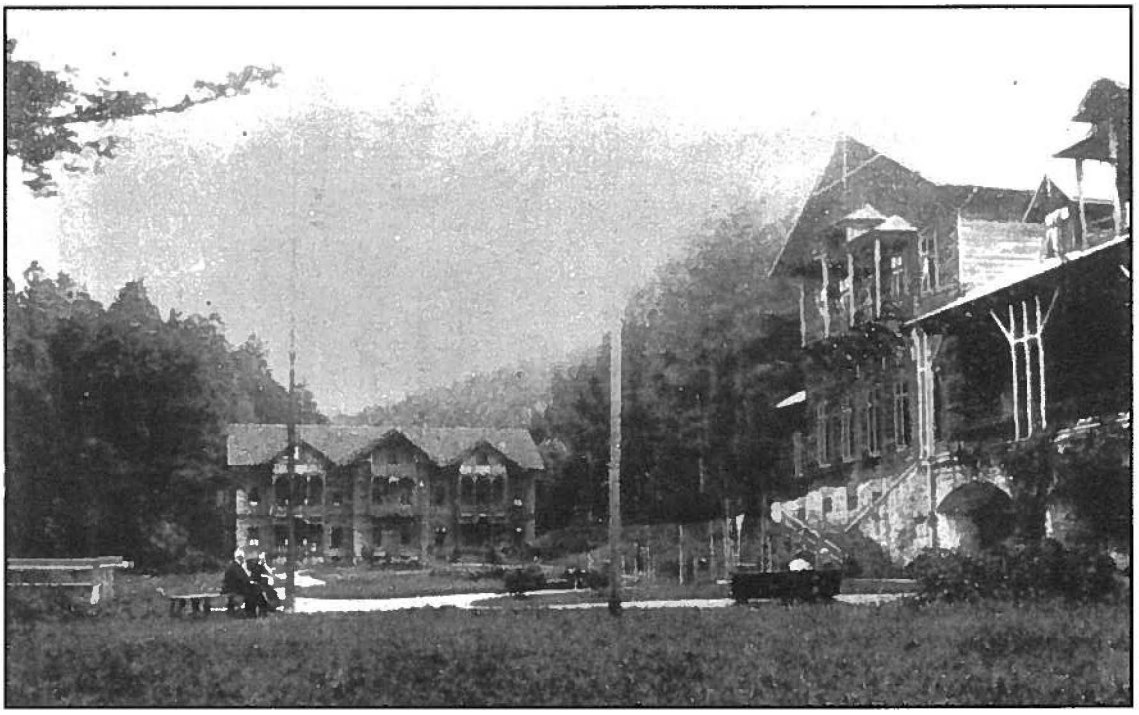
Nie będzie już opisu pogrzebu Anny Potockiej w Rymanowie, który zgromadził kilkadziesiąt osób najbliższej rodziny, dzieci, wnuki i prawnuki. Przybył tysięczny tłum mieszkańców okolicznych wsi polskich i dalszych łemkowskich z gór, liczne duchowieństwo obu wyznań katolickich.

Należy jeszcze, w krótkich słowach, podsumować plon tego życia, tak zwykłego na pozór, a tak niezwykłego w treści, w dziełach, w osiągnięciach. Była córką, żoną, matką, babką, a udziałem jej życia były troski i radości, klęski i zwycięstwa. Tak w życiu bywa. Ale w tym zwykłym życiu tyle zadziwia i tyle budzi szacunku, że w ostatnich słowach wspomnienia o niej należy dobrze zdać sobie sprawę z istoty i z nieprzeciętności jej doczesnej wędrówki.

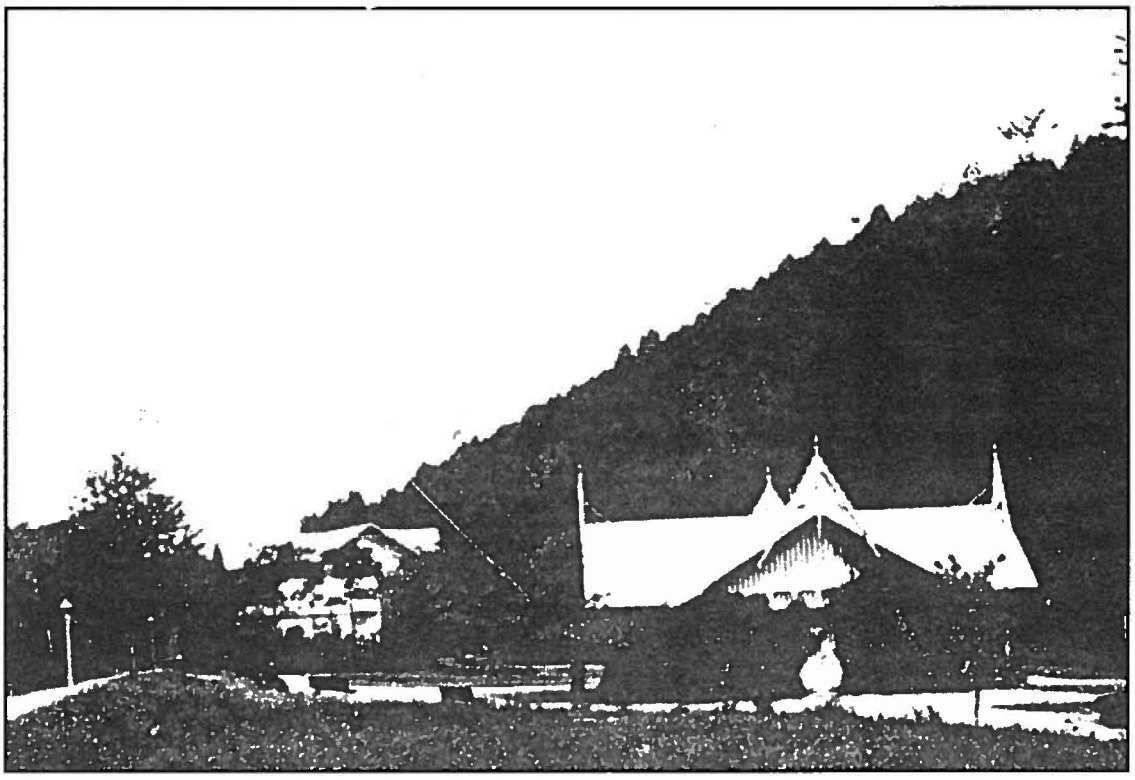
Raz jeszcze prześledźmy dorobek jej osiągnięć. Głównym motorem jej działania było miłosierdzie, któremu towarzyszyła odwaga. Ale nie tylko. W rejestrze jej czynów, w ciągu wielu lat zmagań z losem, znajdujemy więcej podstaw, by pisać o niej w ponad pół wieku po jej śmierci.

Ona patronowała powołaniu do życia komitetu organizującego kolonie lecznicze dla dzieci i uposażyła taką pierwszą na ziemiach polskich zaboru austriackiego, a drugą w Europie, kolonię w Rymanowie.

Ona w nie małym trudzie stworzyła "Zakład Zdrojowy" w Rymanowie i wraz z mężem, a po jego śmier-



Dworzec zdrojowy – Kurhaus. Fot. autor nn. Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka z Iwonicza Zdroju



Pawilon nad źródłami i „Świtezianka" (na drugim planie). Fot. autor nn.
Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka.z Iwonicza Zdroju

ci sama, patronowała organizacjom pomocy dla najuboższej ludności wiejskiej.

Ona zgromadziła zielnik o naukowym znaczeniu i była najwybitniejszym znawcą ziołolecznictwa w Galicji - Małopolsce.

Ona - niestrudzona publicystka i prelegentka, głosiła słowa postępu w lecznictwie, higienie, w życiu osobistym, kulturalnym i społecznym.

Ona z niepospolitą odwagą broniła pierwszego polskiego działacza ludowego na wielką skalę i pomagała mu, gdy inni tej pomocy odmówili z obawy przed gniewem władz świeckich i duchownych.

Ona niosła słowa pociechy i nadziei w dniach klęski, wojny i epidemii. Dzięki niej tysiące ludzi znajdowało siły, by przetrwać lata głodu i niedostatku.

Ona, pani wielkiego rodu, dała przykład posiadającym, jak dzielić się dobrem i nie pominąć nikogo potrzebującego pomocy.

Dlatego słusznym jest, aby życie Jej pełne zasług, nie zostało zapomniane!

Przypisy

1. Oleszyce przeszły do Potulickich, skąd jako posag do Sapiehów.

2. "Konsens" - zezwolenie na budowę zakładu zdrojowo-kąpielowego wydany przez Namiestnictwo we Lwowie, napisany był na szarym, grubym papierze - jak dzisiejszy papier pakunkowy. Poza zezwoleniem zawierał warunek, że opodal źródła wybudowana zostanie obora dla owiec. W tych czasach do kuracji pitnej stosowano (także w Szczawnicy, Dusznikach i Szczawnie na Dolnym Śląsku) wodę mineralną zmieszaną z żętycą (serwatka z owczego mleka) - przypisek red.

3. Na przełomie wieku do nazwy "Miejsce" dodano "Piastowe".